Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



Białoruska wioska. Fot. Wł. Wysocki

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 3 (851) 20 STYCZNIA 1937 R.



Z polowania na dziki w Wierzchowiskach u p. Jana Koźmiana (woj. lubelskie). Na pokocie 31 dzików. Fot. „Sztuka", Lublin.

PSIA SPRAWA.

Mniej więcej dziesięć lat temu napisałem do „Łowca Polskiego" artykuł o roli wiejskich kundli w tępieniu naszych zwierzostanów. Artykuł ten, nie wiem dlaczego, nie został wydrukowany, a ja tymczasem nie przestawałem śledzić dalej tej tak dziwnej bądź co bądź sprawy; dziwnej, bo łatwej do uregulowania, a jednocześnie lekceważonej przez tych, którzy na jej uregulowanie mogliby i powinni wpłynąć.

W ciągu tego czasu spotykałem się kilkakrotnie z nieśmiałemi głosami, zaczepiającemi tę, że tak się wyrażę, psią sprawę, przyczem te głosy zajmowały dwa zupełnie przeciwległe stanowiska, podkreślając w pismach łowieckich szkodliwość psów bezpańskich, albo też (przeważnie w prasie codziennej) biorąc w obronę „nieszczęsne pieski" przed barbarzyństwem ludzkiem.

Jak dotąd, skończyło się na tej dość zresztą bezbarwnej polemice, a wiejskie kundle, pozostawione nadal same sobie, wyrządzają po staremu nieobliczalne szkody wśród naszych pól i lasów.

Może mi na to powie ktoś: „Nie przesadzajmy". Ten i ów żachnie się i nazwie mnie wprost barbarzyńcą.

Te wszystkie ewentualności nie zrażają mnie bynajmniej. Na podstawie długoletnich doświadczeń wołam, jak mogę najgłośniej, na alarm. Sprawa psia i właściwe jej uregulowanie jest w bieżącej chwili najważniejszem zadaniem czynników miarodajnych, jeśli rzeczywiście chodzi o ochronę naszych łowisk. Śmiem twierdzić, że jest ona ważniejsza od wnykarstwa, a w każdym razie od kłusownictwa.

Zapewne, mieszkaniec miasta, wyjeżdżający jedynie na parę godzin w teren na polowanie, albo nawet i wieśniak, lecz zamieszkujący wyjątkowe pod tym względem okolice, nie orjentuje się w prawdziwej grozie sytuacji, lecz ja się przypątrzyłem dokładnie psim stosunkom w najróżniejszych dzielnicach naszego kraju i przekonałem się jednocześnie, jak wielki wpływ ma na podniesienie się zwierzostanu walka z wałęsającemi się psami.

Niewiele pomogą najlepsze ustawy łowieckie, unormowanie sposobów polowania, czasów ochronnych, hodowli zwierzyny, jeśli nie pomyślimy równocześnie o zaradzeniu psiej pladze.

Żeby nie być gołosłownym, pozwolę sobie przytoczyć kilka przykładów z własnej praktyki łowiecko-hodowlanej.

Wiosną roku 1925 trafiłem na zapuszczony pod względem łowieckim teren 30-to włókowego majątku w województwie warszawskiem. Zajęcy było tam niewiele, a kuropatw jeszcze mniej. Zato psy wałęsały się po polach bezustannie, zabrałem się przeto do ich tępienia, w czem mi zresztą dopomogło rozporządzenie województwa, zabraniające z obawy przed wścieklizną puszczania psów na swobodę. Na swobodzie mógł się znajdować pies myśliwski w czasie polowania, pies przy bydle, jeśli stado, którego

pilnował, miało conajmniej 15 sztuk i psy nocne, jeśli znajdowały się wewnątrz ogrodzeń, uniemożliwiających wydostanie się na pole i drogę publiczną. Jednocześnie policja otrzymała polecenie wybijania wszystkich psów, spotkanych na polu czy drodze wbrew zakazowi, a także spisywania na właścicieli tych psów protokółów, kończących się z reguły 10-cio złotową grzywną, lub odpowiednią „porcją" aresztu.

Rezultaty nie kazały długo na siebie czekać. Przez trzy kolejne lata polowałem z psem na kury, a na zające jednorazowo w zimie, kociołkami, na całym terenie. Ubiłem na owych trzydziestu włókach co następuje:

	Kuropatwy	Zające	Psy	Koty
rok 1925/26	37	33	12	6
„ 1926/27	90	66	22	8
„ 1927/28	196	79	9	8



Bielaki. Fot. A. Bądzyński.

W roku 1928 objąłem duże dobra w województwie lubelskiem, posiadające około 3000 ha lasu, poprzecinanego kilkoma wsiami. Można sobie wystawić, co tam się włóczyło psów, a całodzienne polowanie w grudniu 1928 roku, z naganką w lesie, w 6 strzelb, dało aż... 8 zajęcy na rozkładzie. Zabrałem się naturalnie przedewszystkiem do psów i to w sposób bardzo radykalny i jedynie możliwy na takich terenach, to jest stosując strychninę. Zatruwałem całe sztuki sprowadzonych w tym celu padłych koni, rozkładałem je w różnych częściach lasu, na co wychodziło rocznie około 60 do 80 gramów strychniny. Straż leśna miała naturalnie polecenie strzelania do psów, ale to i dawniej było stosowane. Znów proszę spojrzeć na rezultaty:

r. 1929	strzelb	9	ubito	zajęcy	39
r. 1930	„	7	„	„	52
r. 1931	„	10	„	„	78
r. 1932	„	8	„	„	103

Wszystko — jednodniowe polowania grudniowe z naganką, w lesie. Jednoczenie stan sarn, których pomimo dużej przestrzeni było niewiele, poprawił się znakomicie, dając w roku 1929 dwa odstrzelone kozły, w r. 1930 — 6, a w następnych po 10 kozłów rocznie przy stale powiększającej się ilości pogłowia tej zwierzyny.

Wreszcie trzeci i ostatni przykład, to rezultaty, do jakich doszedłem z Korzenistem, objąwszy ten majątek w roku 1932 w takim stanie łowieckim, że próbne polowanie, urządzone w końcu grudnia tegoż roku, dało 6 zajęcy na rozkładzie. Naturalnie, widząc taki stan, polowaliśmy nie cały dzień, by nie wybijać resztek. Zabrałem się znów z całą energją do pracy, gdyż teren podobał mi się odrazu. Psów w tych stronach włóczyło się dużo więcej, niż gdzieindziej. Walkę z niemi rozpoczęliśmy w kilku, a zwłaszcza we dwóch z jednym z mych sąsiadów. Szła ona jednocześnie w trzech kierunkach.

Najpierw uzyskaliśmy zarządzenie starostwa, analogiczne do opisanego wyżej rozporządzenia wojewody warszawskiego. Tym razem nie można było jednak liczyć na pomoc policji w wybijaniu psów, gdyż nie wolno jej było używać do tego nabojów skarbowych. Musieliśmy więc sami wziąć się do wybijania i to jak najbezwzględniejszego wszystkich napotkanych psów tak w polu, jak na drodze, za pługiem, czy wozem, jeśli tylko nie były uwiązane, lub na uwiązaniu prowadzone. Nie było to miłe zajęcie, ale cóż robić?... To stanowiło drugi kierunek naszej walki z psami. Na początku mieliśmy z tego powodu wiele nieporozumień, nawet spraw sądowych, ale w rezultacie, opierając się na zarządzeniu starościńskiem, postawiliśmy na swojem, a w każdym razie okoliczne wsie zrozumiały konieczność wiązania tych psów, na których ich gospodarzom prawdziwie zależało. Wiedziano, że pies spuszczony przeważnie nie wróci.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Pozostały bowiem pieski, stojące przykładnie cały dzień na uwięzi, a na noc spuszczane niby to dla ochrony, ale zwykle z miejsca na całą noc idące w pole, by wrócić dobrze o świtaniu do domu. Na nie musiałem użyć strychniny, którą zakładałem dwa razy rocznie, w marcu i wrześniu, aż do zeszłego roku, kiedy skutkiem nadzwyczaj ostrej wścieklizny wybito w okolicy dosłownie prawie wszystkie psy, tak że i truć nie było co.

Warto przy sposobności stwierdzić, że w mojej wsi, gdzie psy są stale uwiązane, nie było ani jednego wypadku wścieklizny, a wkoło szalała do tego stopnia, że powściekały się dziesiątki bydła, świń, nie mówiąc o kilkunastu wypadkach pokąsania ludzi.

Proszę spojrzeć teraz na rezultaty tak drakońskich wystąpień moich przeciwko psom. W numerze 26 „Łowca Polskiego" z roku 1936, na ostatniej stronie znajduje się szczegółowe zestawienie odstrzału tak zwierzyny łownej, jak i szkodników, na terenach majątku Korzeniste za lata 1933 do 1935, ograniczę się przeto do podania tutaj rozkładów jednodniowych polowań zimowych w ciągu ostatnich czterech lat i to tylko co do zajęcy, z pominięciem innej zwierzyny. A więc rok 1933 — 77 zajęcy; 1934 — 104; 1935 — 129 i wreszcie 1936 — 180 zajęcy. Ten ostatni rezultat, to zbawienny skutek wścieklizny, a właściwie wybicia z powodu niej psów.

W powyższych przykładach, prosto z życia wziętych, starałem się przedstawić rezultat walki z wałęsającemi się psami, a co za tem idzie, udowodnić szkodliwość psów dla zwierzostanu.

Rozumiem doskonale, że nietylko psy wyrządzają szkody w polu i nietylko walka z niemi stała się przyczyną tak znacznego powiększenia rozkładów polowań. Wszak równorzędnie prowadzi się tępienie wron, kotów, wzmaga się ochronę od kłusowników i wnykarzy, stosuje się odpowiednie żywienie zimowe, jednak psy stanowią wśród wrogów naszej zwierzyny, a zwłaszcza sarn i zajęcy, element dominujący i, co najważniejsze, najłatwiejszy do ujarzmienia.

Czyż możemy, poza tępieniem jedynie, znaleźć sposób na lisy, wrony i t. p. szkodniki? Nie możemy przecież ograniczyć ustawowo dzikich zwierząt i ptaków. Częściowo można powiedzieć to samo o kotach domowych, które wszak nie mogą być trzymane na uwięzi, jeśli mają łapać myszy i szczury. Tak więc i koty mogą być jedynie wybijane, czy też łapane w potrzaski w polu. Pies natomiast, jako zwierzę całkowicie udomowione i przeznaczone do służenia człowiekowi, zależnie od rasy i celu, może być przez tegoż człowieka zabezpieczony od szkodzenia innym.

— Przecież pies też musi żyć — powie mi na to jedna i druga paniusia — co to szkodzi, jak sobie zajączka pogoni?

Gdybyśmy mieli z tej strony patrzyć na psa, gdybyśmy uznali, że ma on te same, co i człowiek, prawa w uganianiu się za zwierzyną, gorzej zresztą, boć trudno wymagać od psa szanowania terminów ochronnych, czy też cudzych granic, to pocóż wogóle myśleć nad hodowlą zwierzyny, poco głowić się nad ustawami łowieckiemi.

Rozumując w podobny sposób, jak owa legendarna w danym razie (trafiają się zresztą i takie) paniusia, moglibyśmy dojść do wniosku, że koń, dajmy na to, też może bujać sobie na swobodzie, zamiast stać w stajni, czy na okólniku. Cóż to szkodzi, jak wpadnie sobie w cudze pola i szkody narobi — przecież żyć musi. Jeżeli więc tak szlachetne zwierzę i nieraz niemniej dobry przyjaciel człowieka, koń, musi się poddać ogólnemu porządkowi, to z jakiej racji ograniczenie nadmiernej swobody psa mamy uważać za krzywdzenie tego ostatniego?

Na pociechę tych wszystkich, którzyby w mych dotychczasowych wywodach chcieli zobaczyć jakieś dzikie barbarzyństwo, pragnę wyraźnie stwierdzić, że walka, jaką proponuję i której konieczność tak dobitnie staram się udowodnić, to nie walka z psem — stworzeniem bezmyślnem, lecz przedewszystkiem i tylko z człowiekiem, który obowiązany jest swego psa otoczyć odpowiednią opieką.

Wiemy dobrze, jak wygląda przeważnie ta sprawa po naszych wsiach. Jak nieraz pies jest tam skazany na żywienie się własnym przemysłem, a w każdym razie na dożywianie się, gdy z reguły dają mu tylko odpadki i to takie, których już świnia nie zje. Podkreślam „przeważnie", boć zdarzają się także i wypadki troskliwego obchodzenia się z jakimś jednym, czy drugim Burkiem, ale te wyjątki potwierdzają tylko regułę. Pomyślmy dalej, ile to szczeniąt przychodzi na świat na to tylko, by chować się potem w najopłakańszych warunkach, powiększając szary psi proletarjat. Czyż taki pies nie musi bobrować po polach i lasach dla ratowania się od śmierci głodowej? Z pewnością tak, ale winę za to ponosi całkowicie jego pan, a jeśli to pies bezpański, to też jakiś człowiek, który tego bezpańskiego psa wychował i na włóczęgę puścił.

Poza psami, chodzącemi po polach z głodu, przynajmniej drugie tyle (jeśli nie więcej) chodzi dzięki bezmyślności ich gospodarzy.

Nieraz małe dziecko pasie jedną — dwie krowiny, ale pies musi być przy tem i podobno ma ogromnie w paseniu pomagać, choć naturalnie cały czas tylko myszkuje po okolicy. Gospodarz lub jego parobek wiezie w pole furę gnoju — pies obowiązkowo idzie za wozem, by, korzystając z pobytu pana poza opłotkami wsi, poganiać swobodnie po świecie.

To są właśnie te plagi, z któremi trzeba walczyć. Pies do pasenia bydła wogóle nie jest potrzebny, może się jedynie przydać przy dużem stadzie owiec, jeżeli jest do tego specjalnie ułożony, a branie go bez należytej opieki w pole powoduje rozpędzanie wszystkiego, co żywe, i o to do psa pretensji mieć nie można.

Sądzę, że chyba dość wyraźnie udowodniłem taksamo wielką szkodliwość psów, jak i wyłączną odpowiedzialność ludzi za te szkody. Pozostaje teraz zastanowić się, jakby dałoby się tę plagę usunąć.

Nie potrzebuję chyba dość wyraźnie podkreślać, że wszystkie opisane wyżej sposoby, stosowane przeze mnie w walce z psami, uważać można jedynie za zło konieczne, za pewnego rodzaju samoobronę przy dzisiejszym stanie rzeczy, ale nigdy za odpowiedni środek na przyszłość.

Skoro wina leży całkowicie po stronie człowieka, jego należy zmusić do opieki nad psem, a na to potrzebne są odpowiednie ustawy z odpowiedniemi sankcjami. Może najprostsze byłoby opodatkowanie właścicieli psów po wsiach (tak, jak się to odbywa po miastach). Wystarczy 5-cio złotowa opłata roczna od psa, by ten pies z opłaconym za niego podatkiem stał się zaraz czemś w pojęciu jego pana; czemś, o co warto dbać. Rozumując dalej, gospodarz będzie chciał płacić tylko za takiego, który do czegoś realnie służy, a nie za jakiegoś kundysa, szwędającego się dotychczas bez żadnego przeznaczenia niby to po obejściu, a więcej po polu. Po oszczenieniu się suki tylko tyle i tylko takie szczenięta pozostawi się do chowu, za które warto będzie płacić podatek.



Wilk, ubity w Lubaniu. Fot. A. Bądzyński.

To jest, zdaniem mojem, jedyne rozwiązanie psiej sprawy na dalszą metę. Wykonanie takiej ustawy na trudności napotykać nie powinno. Odpowiednia ilość kontrolerów, choćby po jednym na gminę, może mieć śmiało byt zapewniony właśnie z psiego podatku. W taki tylko sposób pozbędziemy się dzisiejszej plagi bez uciekania się do dotychczas z musu stosowanych środków. Nie będzie też znęcania się nad psami, jak się to, niestety, czasem zdarza we wsiach, nawiedzorych wścieklizną, gdzie czyściciel, a nieraz i sołtys w asyście policji i lekarza weterynarji likwidują pałką, jako jedynem posiadaniem narzędziem, całe psie pogłowie.

Naturalnie poza opodatkowaniem właścicieli psów, puszczanie tych psów na swobodę powinno być również ustawowo najsurowiej zabronione i przekroczenia w tej dziedzinie odpowiednio karane, jestem jednak moralnie przekonany, że już po krótkich represjach porządek łatwo da się zaprowadzić.

Oczekujemy właśnie nowej ustawy łowieckiej i dobrze rozumiemy, że wiele spraw czeka na odpowiednie ich uregulowanie, ale winniśmy się bezwzględnie domagać, by między najpilniejszemi uregulowana została w pierwszym rzędzie sprawa psia, co będzie miało taki sam zbawienny skutek dla naszych zwierzostanów, jak i dla wszystkich poczciwych Kruczków i Burków, napróżno oczekujących dotąd unormowania ich psiego obywatelstwa.

Nie zapominajmy przytem, że korzyścią wtórną takiego postawienia rzeczy będzie ukrócenie tak dziś powszechnie występującej wścieklizny, pochłaniającej corocznie masę ofiar nietylko wśród inwentarza żywego, ale też i ludzi, a korzyść ta nie jest chyba do pogardzenia.

K. KOMIEROWSKI.

ZACZAROWANY ODYNIEC.

Znała go cała puszcza... Dla niego suto sypały żołędzie stare dęby białowieskie. Dla niego dżunglą nieprzebytą wyrastały gęste pokrzywy w czarnym bagnistym olsie, gdzie znajdowało się ulubione buchtowisko i leże ponurego samotnika. Nad jego bezpieczeństwem czuwały wścibskie, czujne sójki i drozdy, ostrzegające przed niebezpieczeństwem wówczas, gdy spoczywał w mrocznych zaroślach. Nawet igliwiem dzwoniące sosny i milczące świerki, zapatrzone ostremi wierzchołkami w głęboki błękit, łaskawie swych łez bursztynowych — żywicy użyczały odyńcowi, aby mógł dobrze nasmolić twardą szczecinę. Dowoli wtedy używał czarny usmol błotnistej kąpieli, dzięki której narastała na nim twarda skorupa, stanowiąca mocny pancerz, chroniący go przed robactwem i wszelkiemi urazami cielesnemi.



Puszcza Rudnicka. Przed pędzeniem na dziki.
Fot. Dyr. A. Piasecki.

Cała puszcza już od wielu lat znała olbrzymiego dzika, który był postrachem dla rywali i niepodzielnym władcą stad dziczych, zamieszkujących pobliskie grondy, jełosmycze i olsy. Król dzików puszczańskich jako główną ostoję obrał gęsty, mocno młodą świerczyną zarosły zakątek leśny, znajdujący się niedaleko Ochojca i graniczący z karłowatą sośniną na podmokłym gruncie, która przechodziła stopniowo w olbrzymie pustkowia, obfitujące w trzęsawiska bagno — Dziki Nikor. Odyniec był tu władcą absolutnym „Panem na Ochojcy i Dzikim Nikorze". Panował tu od wielu lat, bo wszyscy mieszkańcy tutejszych stron oddawna już spotykali nadzwyczaj duże — wielkości śladów sporej jałówki — tropy, które budziły podziw gajowych i tubylców puszczańskich.

Wszyscy oni — z dziada pradziada kłusownicy — dobrze znali się na zwierzynie i jej obyczajach, lecz żaden z nich takiego odyńca w swem życiu nie spotykał. Zadziwiającą była nietylko wielkość dzika — niezwykła była jego wprost szatańska przebiegłość i ostrożność... Kilka lat temu nasz dzik, chociaż odznaczał się już pokaźną tuszą i wzrostem, nie posiadał jeszcze doświadczenia i sprytu życiowego. Odwaga młodzieńcza i wiara w swe siły bywała często przyczyną różnych tarapatów, w jakie popadał młody odyniec, który sądził, że zdoła pokonać wszystkich wrogów, a nawet człowieka...

Pewnego dnia w grudniu, kiedy puszcza skrzyła się w słońcu gwiazdkami puszystego śniegu, nastąpił w życiu odyńca i w jego umyśle zasadniczy przełom. Spowodował to wypadek, którego dzik omal życiem nie przypłacił. W puszczy urządzono wielkie, dobrze zorganizowane polowanie, z umiejętnie poprowadzoną naganką i licznymi myśliwymi. Do jednego z miotów trafił nasz odyniec. Wypłoszono go z gęstej świerczyny, gdzie odbywał rozkoszną drzemkę pod gęstym, ciemnym, przytulnym namiotem przygniecionych śniegiem gałęzi, snując marzenia o przygodach miłosnych z lochami, które teraz szczególnie czule chrząkały i spoglądały nań przychylnem okiem. Odyniec — pełen młodzieńczej werwy, posłyszawszy zbliżającą się nagankę, uniósł gwizd, dmuchnął i popędził wprost przed siebie... Wyskoczył wkrótce na otwarte miejsce, przystanął i nagle — batem ognistym smagnęło go po boku, poczem rozległ się ogłuszający huk.

Rozjuszony odyniec rzucił się na dym i przemknął przez linję myśliwych bez szwanku, gdyż uczynił to z taką szybkością, że dwaj myśliwi, stojący na najbliższych stanowiskach, spudłowali... Strach i złość rozsadzały odyńca, a piekący ból w prawym boku zmuszał go do tarzania się po śniegu. Rana jego nie była poważną. Myśliwy strzelał na sztych i kula zdarła płat skóry na łopatce, a następnie utkwiła w mięśniach przy żebrach. Odyniec stracił trochę posoki, której upływ wkrótce ustał zupełnie, gdyż rana się zasklepiła i przy głębokim tropie, powstającym w pulchnym śniegu po racpiach dzika, nie było już ani jednej czerwonej plamki...

To wydarzenie ukształtowało należycie światopogląd odyńca. Wiedział odtąd, że zawsze należy unikać wszelkiej styczności z uzbrojonym człowiekiem, zaś naganki niema przyczyny się obawiać, bo hałas nikomu jeszcze na ciele nie zaszkodził. Później, w następnych latach odyniec parę razy trafił na polowanie, lecz zawsze albo pozostawał w gąszczu, jak nieruchoma bryła, do ostatniej chwili, albo bezczelnie parł na nagankę, przerywał się przez nią i starał się przytem obciąć któregoś z tych intruzów, którzy przerwali mu miłą drzemkę w haszczach.

W tym okresie poznali go wszyscy i zaczęła krążyć wśród tamtejszej ludności legenda o zaczarowanym odyńcu. Odyniec — stary sadlisty usmol — sam widocznie był tego zdania, bo nigdy nie objawiał strachu przed człowiekiem, o ile ten nie miał broni.

Kilka razy spotykałem go — nawet przed zmierzchem, w lecie i w zimie, na prostych, szerokich trybach. Stał przez chwilę, węsząc, sapiąc w zamyśleniu i pogardliwie kręcąc ogonkiem, a potem bez pośpiechu, majestatycznym krokiem ruszał w kierunku zarośli.

Jak wszystkie dziki, zaczarowany odyniec chętnie korzystał z plonów ludzkiej pracy, a więc przedewszystkiem uznawał za bardzo celowe buchtowanie w kartofliskach i na polach owsianych. Szczególnie upodobał sobie pólko ziemniaczane przy bardzo odległej od Nikora leśniczówce na Majdanie. Noce księżycowe i noce ciemno-dżdżyste, lub spowite białym całunem mgły, były dla niego w jednakowym stopniu odpowiednim czasem dla urządzania tych wycieczek turystycznych, których celem było zdobycie kartofliska i osiągnięcie rekordu w zniszczeniu ziemniaków.

Odyniec, aczkolwiek był zaczarowany i nosił berło władzy nad wszystkiemi dzikami puszczy, wyrządzał szkody równie dotkliwe, jak każdy na pospolitszy dzik. Toteż wyczyny jego nie znajdowały uznania wśród mieszkańców leśniczówki. Postanowiono więc urządzać nań czaty co parę dni.

Zdumienie nasze nie miało poprostu granic, kiedy przekonaliśmy się, że odyniec zjawiał się i zajadał kartofle tylko wtedy, gdy nikt przy nich nie czatował. Głód swój przebiegły zwierz zaspokajał na kartofliskach chłopskich, lub na Ochojcu — w swojem królestwie, albo na jakimś innym krańcu puszczy. Wynikiem naszego czatowania było kilka sztuk dzików,

które udało się położyć, lecz zaczarowany ich król szczęśliwie uniknął śmierci lub kalectwa.

Ostatniemi czasy jego przebiegłość stała się tak precyzyjną, że udawało mu się unikać dużych polowań, ponieważ nauczył się zawczasu poznawać przygotowania wstępne, głównie po charakterystycznym zapachu człowieka w nieodpowiednich do tego miejscach. Spokojnie uchodził bez niepotrzebnych wzruszeń, jakich doznawał podczas przedzierania się przez nagankę.

Spokojnie mijały lata. Odyniec potężniał, królestwo jego stawało się coraz rozleglejsze i coraz potulniej ustępowały mu z drogi w czasie lochania się młodsze i słabsze „gamraty"... Sypią przed nim dęby swe jędrne żołędzie, sosny i świerki wonnym olejkiem — żywicą — namaszczają królewskie cielsko zwierza. Po puszczy wciąż krąży legenda o zaczarowanym odyńcu, którego kula nie bierze i który zna wszystkie ludzkie podstępy...

Do dziś dnia żyje szczęśliwie olbrzymi usmol wśród nieprzebytych baorów nikorskich, grondów i olsów puszczańskich. I teraz z pewnością spoczywa w swojem leżu, ukrytem w haszczach świerkowych, i kpi, pochrząkując cichutko, z niezaradności człowieka, który z nim przez tyle lat uporać się nie potrafił...

INŻ. W. LINDEMAN

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Dziś gości nas i przyjmuje mister Pidcock, stary, chudy, raczej do tyki, niż do człowieka z krwi i ciała, podobny dżentelmen. Pionier, eksprospektor, dzięki uśmiechowi fortuny dokopał się oskardem do żyły czystego złota w lesistych i głębokich jarach gór Selkirk. Wydajność jej, jak opowiadał, niejednokrotnie pozwalała w ciągu dnia „nadrapać na każdą twarz" po pięćset dolarów szlachetnego kruszcu. Po należytem wyeksploatowaniu rzuconego mu przez los prezentu, zagorzał. Poniosło jego i kamratów. O tem, co wyprawiał w San Francisco, jak hulał, czego dokonał, wiedzą jeszcze starzy właściciele *saloons* (szynków) miasta „przy złotych wrotach". Słowem był *good time* (wesoło było).

Mimo nadmiernej ochoty do whisky, pockera i wielu innych doczesnych uciech, które zrujnowały niejednego wypłukiwacza złotego piasku przy brzegach rwącej rzeki Fraser lub Skeena River, Pidcock zdołał się jakoś wykaraskać, otrzeźwieć. Towarzysze jego, dawniejsi bogacze, potoczyli się po równi pochyłej i obecnie ślad po nich zaginął. Tylko Maud zawdzięcza to, że uniknął ich niesławnego losu i z „nędznych okruchów", które mu zostały, udało mu się nabyć tu na wyspie kilkaset akrów urodzajnej ziemi. Posiadłość ta stała się dla niego cichą przystanią po burzliwem życiu.

Mister Pidcock z mocnym, kościstym, na kolor ćwikły zabarwionym nosem, zasuszony w dymie fajki, nieustannie tkwiącej w długich, żółtawych, końskich zębach, jest wspaniałym causeurem. Oprócz resztek majątku, uratował jeszcze bogate wspomnienia, któremi obficie nas podejmuje i raczy wraz z doskonałym rumem.

— O, boy! Przewędrowałem ja i przemierzyłem Kanadę wzdłuż i wpoprzek. Nie znajdzie pan człowieka, któryby lepiej widział i lepiej patrzyć umiał, jak ja.

Niejedną zimę przesiedziałem między indjanami Haida. Szczep ten, który dawniej siał grozę i budził nienawiść wśród wszystkich plemion, począwszy od alaskańskiej rzeki Taku, aż do przedmieścia Vancouver, New Westminster, dziwną sympatją darzył rzadko spotykanych tam białych. W czasie mego pobytu wśród nich, 50 lat temu, zaobserwowałem cały szereg dziwnych zwyczajów. Jeden z nich polegał na tem, że umarłych nie grzebali, lecz umieszczali w specjalnie wydrążonych do tego celu drzewach. Ciału nadawali pozycję siedzącą, z podbródkiem opartym o kolana, przez co postać sprawiała wrażenie zgarbionej. Wydrążenie zakrywali kamienną płytą. Las tych drzew ze skulonemi szkieletami dawniejszych wojowników, bo często kamienne płyty, kruszejąc, odkrywały otwory pni, sprawiał makabryczne wrażenie. Podczas długich nocy zimowych, podczas szarych zmierzchów, nasłuchałem się wśród nich wielu legend i podań.



Cecil Smith z moim samcem pumy.

— Piękne są okolice rzeki Skeena. Na olbrzymich obszarach ciągną się wzgórza o niezwykle urozmaiconych kształtach, czasem aż niesamowitych. Między innemi zaciekawił mnie jeden szczyt, jakby przepiłowany wzdłuż piłą niebywałych rozmiarów. Odnosiło się wrażenie — ciągnie stary Pidcock bajecznym slangiem, z nosem coraz bardziej upodobniającym się do koloru świeżo ugotowanej ćwikły, ani na chwilę nie wypuszczając prostej fajki z wąskich, bezmięsnych warg — że szczyt ten jakaś olbrzymia moc w szalonej pasji rozdarła na dwie do-

skonale symetryczne połowy. I zaprawdę, tylko ta sama nadludzka siła mogłaby potęgą swoich ramion obie pasujące do siebie połowy zsunąć z powrotem ponad bezdenną przepaścią.

Szczyt ten, jak głosi legenda, bogato zalesiony, pełen jagód, słynął z obfitości największego przysmaku indjan i niedźwiedzi — tłustych świstaków. Gdy dojrzali mężowie i młódź udawali się na wyprawy dla zdobycia niewolników i skalpów, starcy, kobiety i dzieci mieli doskonałe schronienie na tym szczycie, na którym nigdy nie brakło żywności.

— I zdarzyło się, że za grzechy ojców zły duch osiedlił na nim potężnych rozmiarów grizzly, grizzly — smoka, który bronił dostępu do czernic i nie pozwalał zdobywać tłustych świstaków.

Potężni wodzowie, bohaterska młódź, każdą wyprawę, która miała na celu pokonanie potwora, okupywali życiem. Wreszcie, kiedy rozpacz ogarnęła całe plemię indyjskie, kiedy modły i zaklęcia czarowników nie zdołały skruszyć potęgi niszczycielskiej bestji, znalazł się młodzian, który zapragnął samopas zmierzyć się z niedźwiedziem. Wzmocniwszy siły duchowe długą samotnością i modłami, uzbroił się w łuk i strzały i wyruszył na śmiertelne zmaganie.



Wędrując w górę strumieni, łososie często wyskakują nad powierzchnię.

Kiedy ostatnią strzałę umieścił w cielsku niedźwiedzia i zrezygnowany cofał się przed rozjuszonym zwierzem, nucąc ze śmiercią pod powiekami pieśń wojenną, zdarzył się cud. W momencie, kiedy grizzly sięgał już łapą jego czaszki, Wielki Duch Manitoo ulitował się nad młodością wojownika i bohaterskiem uderzeniem miecza rozdzielił bezdenną przepaścią szczyt górski.

— Na jednej połowie został śmiertelnie raniony, konający potwór, a na drugiej Mężne Serce, uratowany z krainy Wiecznych Łowów przez Wielkiego Manitoo.

Cecil, w głębokim fotelu przy kominku, leciutko ciągnie nosem trel. Zna on te historje, a zmęczenie i rum robią swoje.

Harry sięga do dawniejszych wspomnień. Był on w roku 1886 jednym z tych, którzy pracowali przy budowie drogi żelaznej ze wschodu na zachód. Właściwie to ona dopiero, łącząc Atlantyk z Pacyfikiem, faktycznie zespoliła wszystkie prowincje kanadyjskie. Dzięki niej przebogate złoża złota, srebra, cynku, miedzi i ołowiu mogły zostać upłynnione i potoczyć się wartkim, szerokim strumieniem, bogacąc mieszkańców i doprowadzając kraj do ogromnego rozkwitu.

Linja ta, budowana przez Canadian Pacific Railway, zatrudniała dziesiątki tysięcy ludzi ze wszystkich zakątków świata. Toteż Pidcock, zanim żyłka włóczęgowska nie zapędziła go tam, dokąd C. P. R. nie sięgało, miał już za sobą dostatecznie dobrą szkołę życia.

Trudno mi było określić jego wiek. Ale kiedy uprzytomniłem sobie, że w roku 1886 po dzień dzisiejszy upływa pół wieku i że, pracując przy linji kolejowej, Pidcock napewno przekroczył wiek szkolny, nietrudno mi było wywnioskować, że ma on już chyba siedemdziesiątkę.

Zdumiewał mnie beztroski humor i werwa, z jaką, uderzając w struny gitary, zaintonował na zakończenie popijawy starą angielską, swawolną piosenką: „*Who'll go down the Strand and have a banana*" — czem nawet udało mu się rozbudzić i rozweselić poważnego zazwyczaj i zimnego Smitha.

Doszło do tego, że Cecil, na dobre rozochocony, bo czego nie dokonał rum, to dopełniła stara melodja łobuzerskiej piosenki z „old country", swoim falsetem podtrzymywał towarzyszy. Ba, szczytem wszystkiego było, kiedy długonogi Pidcock, drobno krocząc ze „szczeniakiem" Smithem i pobrzękując na gitarze, pokazywał mi pierwsze pas lancier'a — *old timer dance* (taniec ze starych czasów).

— Co — krzyczał — siedemdziesiąt! Kiedy ja miałem siedemdziesiąt lat, to ty *mister from Poland*, mogłeś się jeszcze obozem pod stołem rozłożyć. A koszulina twoja, wierzę—pochlebia mi przytem, że bez „herbowych znaków" — służyła ci przy wszystkich reprezentacyjnych okazjach jeszcze za „taxido" (smoking).

Pidcock jest zdrów i rześki. Drobiąc, przytupuje i składa wersalskie ukłony, wymagane przy lancierze. Ciekawi mnie i interesuje, w jaki sposób starzec ten, będąc na dalekiej północy i tem samem skazany podczas swojej pracy prospektorskiej na żywienie się tylko tym, co zdołał upolować, latami całemi pozbawiony jarzyn i owoców — uchronił się od szkorbutu, zachowując po dzień dzisiejszy imponujące zdrowie i sprężystość. Zagadkę tę sam Pidcock rozwiązał, twierdząc, że uchronił się od choroby, nie używając zupełnie soli w ciągu długich miesięcy, a nawet lat.

Czy hipoteza ta jet trafna, to już rzecz lekarzy hygjenistów. Ja w każdym wypadku życzyłbym sobie, abym, będąc w tym wieku, a nawet o piętnaście lat młodszym, miał jego zdrowie, zęby, humor i jasność umysłu.

Pidcock bardzo prosi, abym u niego zagościł, a dla zachęty dodaje, że w bliskości jego farmy napewno uda mi się spotkać czarnego niedźwiedzia.

Na wyspie Vancouver, jak już zaznaczyłem, zima, dzięki ciepłym prądom japońskim Kuro Szivo, jest nadzwyczaj łagodna i „blacky" zapada wprawdzie w drzemkę zimową, ale dopiero z końcem grudnia, a nieraz nawet w pierwszych dniach stycznia i to na bardzo krótki okres. Jeżeli ukryć się wczesnym rankiem gdzieś nad strumieniem, do którego miś, zawsze łasy na rybę, tak chętnie dąży, ma się doskonałe miejsce obserwacyjne i najłatwiej dojść do strzału.

Nawiasem mówiąc, pędzone instynktem zachowania gatunku, idące gromadami w górę rzek, łososie w okresie tarła przedstawiają sobą jedynie masę ikry lub mlecza i do konsumcji nie nadają się. Mimo to niedźwiedź i ptactwo błotne nawet takiem nie gardzą. W tym też okresie tylko niektóre odmiany dzikich kaczek nadają się do jedzenia, gdyż resztę straszliwie czuć rybą.

Masa łososi, ciągnących przeciwko prądowi, po złożeniu ikry ginie. Jak wielkie są gromady zdechłych ryb, świadczy chociażby to, że farmerzy, jeżeli tylko mają ułatwiony dostęp, użyźniają niemi ze znakomitym rezultatem swoje ogrody warzywno-owocowe. Niezliczona ilość uśniętych sztuk rozkłada się i napełnia powietrze straszliwym odorem zgniłej ry-

by. Zapach ten, zmieszany z zapachem próchniejących kłód, stęchłego, gnijącego listowia, wytwarza woń tak straszliwą, że w okresie tarła jesiennego trzeba mieć dobrze zahartowany nos, aby ją znieść nawet w odległości setek yardów od rzek i strumieni. Podczas włóczęgi mojej ze Smithem do jednej z najnieprzyjemniejszych rzeczy należała przeprawa przez spotykane po drodze potoki. Wiał od nich tak niemożliwy, ciężki, duszący zapach, że formalnie przyprawiał o mdłości.

Przemogła jednak chęć przyjrzenia się „czarnemu" — jak, brodząc po płyciznach, albo też siedząc u brzegów, podchwytuje trzepoczącą się, srebrnołuską rybę i, wygryzając jej grzbiet, odrzuca na bok; chęć zobaczenia, jak, zbierając całe naręcza łososi, które umartwia zatopieniem swoich kęsów w oskrzela, zagrzebuje je później stosami między kamienie i przykrywa kopczyk ten masą listowia, siedząc w kuczki z miną przezornej gospodyni. Nasłuchałem się mnóstwa opowiadań o rozumie i zmyślności tych nieszkodliwych, pokojowo usposobionych, czarnych gubernatorów wyspy Vancouver. Naogół ludność, z małemi wyjątkami, nie odnosi się wrogo do brzuchatego misia. Woli swoją energję łowiecką zużyć, tropiąc tamtejszego jelenia. Niema w tem nic dziwnego, jeżeli się cokolwiek zna zwyczaje, upodobania i wybredny apetyt wyspiarzy. „Cost deer" jest bardzo smaczny, a mięso „blacky" pod tym względem nie dorównuje jeleniemu. W dodatku niedźwiedź ten, wiosną, kiedy ma najpiękniejszą skórę, trudny jest do upolowania, a wspaniałe, krecio czarne, lśniące futro jego ma na rynku małą wartość. Jesienią zaś, gdy polowanie z zasiadki nie przedstawia dużych trudności, futro już mocno zbrzydło, a mięso tak jest nasiąkłe rybim odorem, że nie sposób go tknąć.

(Dok. nast.) M. G.

STRZELEC ROMAN SOBOTA.

(Fragment ze wspomnień starego łowczego Puszczy Białowieskiej).

W odległości dwóch kilometrów od wschodniej granicy puszczy rozciąga się wieś Głęboki Kąt.

Błota, zarośla, różne gatunki łozy i gęste krzaki brzozy, jak również zaniedbane łąki i pola — otaczają ją dokoła. Oddawna już miejscowość ta słynęła, jako bardzo odpowiedni teren dla kłusownictwa, a zwierzyna przebywała tu w wielkiej ilości, gdyż znajdowała wspaniały, naturalny pokarm (pastwiska), którego brak odczuwała w samej puszczy.

Zwierzyna, która nie padła ofiarą chciwych kłusowników, przebiegała dalej, do sąsiednich, prywatnych lasów, rozciągających się poza 15 kilometrowym pasem ochronnym i stanowiła pożądany zasiłek podczas polowań, urządzanych przez okolicznych obywateli. Przebieganie jeleni, sarn i dzików, a także łosi i żubrów stanowiło szczególnie dotkliwą stratę. Chcąc powstrzymać dążenie grubego zwierza w te okolice, zarząd leśny zmuszony był wzdłuż granicy długości 18 kilometrów wznieść mocne ogrodzenie o wysokości dwóch metrów. Ponieważ błota, otaczające puszczę, czyniły ją nieprzystępną i utrudniały ochronę granic, zdecydowano wzdłuż ogrodzenia wytknąć drogę, a przy parkanie urządzić przejścia dla grubego zwierza i tym sposobem dać mu możność powrotu do puszczy. Można sobie wyobrazić, ile zużyto nakładu gotówki i energii przy wykonywaniu tych robót w tak zapadłej głuszy leśnej. Trwało to całe dwa lata i kosztowało 30 000 rubli.

Skuteczność tego pomysłu rzucała się wprost w oczy, bo codzienny powrót zwierzyny do puszczy dał pokaźne wyniki, a sąsiedzi zaczęli się uskarżać na opłakany rezultat polowań w swych lasach. Polowania, urządzane przez ziemian, były coraz rzadsze, szczególnie zaś, gdy za umyślne zniszczenie ogrodzenia była naznaczona surowa kara. Lecz podrażniony apetyt bardzo trudno pohamować.

Mieszkańcy Głębokiego Kątu byli szczególnie niezadowoleni z utraty swego żywiołowego zajęcia, wyrażającego się przeważnie w przemycaniu zwierzyny. Bogaci kupcy przestali do nich uczęszczać. Nic więc dziwnego, że wzrok mimowoli podążał w te okolice, gdzie można było jeszcze znaleźć jakąś zdobycz. Coraz częściej dawały się słyszeć podejrzane strzały w tej części puszczy, która przylegała do wsi. Nie bacząc na to, że od czasu do czasu udawało się schwytać kilku kłusowników, to jednak niesłychane wysiłki patroli straży dziennej i nocnej oraz ciągłe rewizje nie mogły utrzymać należytego porządku. Krwawe plamy śladów i resztki sierści zwierzyny na ogrodzeniu dokładnie wskazywały, którędy przemknął ugodzony zwierz.



Na przeglądzie rewiru.

Pewnego pięknego poranku, już późną jesienią 19.... roku, dano mi znać, że w lesie znaleziono padłego od ran żubra, pozbawionego już rogów. Oburzony, zdecydowałem użyć środków niezbyt dozwolonych, polegających na tem, by przy pomocy znacznej liczby strzelców i leśnej straży otoczyć w nocy całą wieś, ażeby nikt nie mógł przecisnąć się przez łańcuch straży. Następnego dnia, o wschodzie słońca, oddział złożony z 8-miu policjantów, oddanych do mojej dyspozycji i wzmocniony kilkoma doświadczonymi myśliwymi, miał obszukać każdą chatę, stodołę, piwnicę i t. d.; gdyby zaś zaszła tego potrzeba — nie krępować się niczem, nawet wyłamywać podłogi, wyważać drzwi od zapchanych sianem stodół i robić poszukiwania w piwnicach. Praca ta, oczywiście, wymagałaby wiele czasu, przezorności i fizycznego wysiłku, gdy jeszcze weźmiemy pod uwagę, że wieś składała się prawie ze 100 chat, a mieszkańcy jej byli to przeważnie kłusownicy, zajadli i sprytni ukrywacze, nie wyłączając kobiet i dzieci. Szpiegów i donosicieli było poddostatkiem; tego rodzaju ludzi było, niestety, wielu wśród drobnych funkcjonarjuszów leśnych i ich rodzin.

Zupełnie zrozumiałem było, że mój projekt mógł liczyć na powodzenie tylko wtedy, gdyby wszelkie przygotowania mogły być dokonane z największą ostrożnością i w największej tajemnicy. Zachowanie tych warunków byłoby bardzo trudnem zadaniem, gdyż do przeprowadzenia mego planu konieczną była duża ilość ludzi, obecność których w tej części puszczy wywołałaby podejrzenie. Wielką trudność stanowiła i ta okoliczność, że potrzebni ludzie zamieszkiwali w oddalonych punktach lasu, a nawet w sąsiednich wsiach. Ściągnięcie tylu ludzi oraz zaopatrzenie ich w żywność zajęłoby od 2—3 dni, włączając w to czas przybycia na zbiórkę.



Odpoczynek. Fot. Inż. E. Woynicki.

Z żalem trzeba przyznać, że wierne towarzyszki życia swych lekkomyślnych mężów nie mogą poskromić swej ciekawości i muszą wiedzieć dlaczego torba wychodzącego z domu męża - strzelca jest tak mocno wypchana żywnością. Dzięki temu te napozór niewiele znaczące, drobne wiadomości dosięgają niepowołanych uszu z błyskawiczną szybkością, rozchodzącą się od wsi do wsi dokoła puszczy i dostają się do najbardziej dalekich i ukrytych osiedli leśnych.

Wyniki dotychczasowych rewizyj były przeważnie niewielkie. Zdarzało się, że rewidujący wystawieni byli na pośmiewisko kłusowników, uprzedzonych o mającej nastąpić rewizji i doskonale umiejących ukryć *corpus delicti* swego procederu. Swą broń palną kłusownik zwykle ukrywa w dziupli, lub pod kupą zwalonych przez burzę drzew, które w tym stanie dziesiątki lat napróżno czekają na uprzątnięcie. Tylko na krótki przeciąg czasu broń przechowują we wsi, w ulach, lub dołach kartoflanych.

Zważywszy te trudności, byłem skłonny porzucić obmyślony już plan i oczekiwać na odpowiedni moment, który zapewniłby mi niewątpliwie powodzenie. Tymczasem gryzło mnie sumienie i męczyła mnie myśl, że przez opóźnienie tego radykalnego środka dam kłusownikom możność zabicia niejednego cennego okazu, więc zdecydowałem się działać. Postanowiłem przedewszystkiem nie korzystać z pomocy strzelców i straży leśnej tego nadleśnictwa, które znajdowało się najbliżej terenu mej działalności. Ludzie, naznaczeni z 4-ch bardziej oddalonych nadleśnictw, winni byli piechotą, pojedyńczo, lub po dwóch albo trzech, udać się do wskazanego miejsca, odległego o 7 klm. od Głębokiego Kątu i tam oczekiwać na dalsze rozporządzenia, zachowując ciszę i nie zapalając ognisk.

I ja też wczesnym rankiem udałem się w przeddzień rewizji na zbiórkę, uzbrojony tylko w sztucer i lornetę, by nie wzbudzić podejrzenia co do moich istotnych celów. Po wielu deszczowych dniach znów nastąpiła piękna i ciepła pogoda. Obfita rosa leżała na drzewach i trawach, olśniewająco błyszcząc w promieniach wschodzącego słońca. Ziemia była pokryta opadłym liściem jesionu i klonu. Stare dęby zachowały jednak swe liście, które od czasu do czasu, przerywając ciszę leśną, z szelestem spadały na ziemię. Cudnie złociste brzozy, przeplecione ciemną zielenią świerków i sosen, zachwycały oko. Lekki wiatr drażnił powonienie omdlewającym zapachem jesiennego lasu. Ucho łowiło wabiące dźwięki jarząbka; a czasem z łoskotem zrywało się stado głuszców z osiki, na której tylkoco rozkoszowało się smakiem jej liści.

Po trzygodzinnem chodzeniu doszedłem do tego miejsca, gdzie powini byli znajdować się moi ludzie. Gęstwina świerków nie pozwoliła wzrokowi sięgać w dal, ale świeże ślady stóp ludzkich, wyciśnięte na błotnistych miejscach, świadczyły, że życzenia moje były spełnione. Po dokładniejszem rozpatrzeniu się znalazłem wszystkich zebranych: jedni z nich siedzieli na olbrzymiej zwalonej sośnie, inni leżeli na mchu. Moje przybycie zauważono w ostatniej chwili. Z opowiadania zebranych dowiedziałem się, że udało się prawie wszystkim niepostrzeżenie przybyć na miejsce zbiórki, nie bacząc na to, że z powodu błot i głębokich rzeczek nie mogli ominąć gościńca i dlatego przemykali się przeważnie nocą. Rozpogodzone niebo i pełnia księżyca stwarzały doskonałe warunki do zamierzonej pracy na noc następną. Tę okoliczność oceniłem już zawczasu.

Gdy reszta ludzi przyłączyła się do nas, złożyliśmy naradę, na której rozpatrywaliśmy drobiazgowo naszą wyprawę i każdemu poruczono odpowiednie zadanie. Zdecydowaliśmy otoczyć nocą całą wieś i postawić wszędzie warty, a następnego dnia o wschodzie słońca zrobić rewizję.

Pewien byłem, że nasz obmyślony projekt nie ulegnie zmianie, gdy niespodziewanie jeden ze starszych strzelców, Roman Sobota, poprosił o pozwolenie wniesienia nowego projektu, przepraszając zawczasu, że może okazać się on nieudatnym i zakrawać na niestosowny żart.

Roman Sobota zasługuje na to, żeby być uwiecznionym w tem opowiadaniu i żeby pamięć o nim przeszła do potomstwa. Był on jednym z tych, którzy w życiu myśliwskiem puszczy, nie bacząc na swe skromne stanowiska, wyróżniali się wśród innych nietylko dzięki swej pracowitości, uczciwości i dobrze zrozumianemu koleżeństwu, ale także dzięki swemu rozumowi i skrzącemu się humorowi. Ci z nich, którzy znali utwory Henryka Sienkiewicza, nazywali go Zagłobą i bodaj czy nie słusznie.

W ów dzień niezwykły nikt pewno nie przypuszczał, że wielu obecnych po dwóch latach będzie spoczywać w dali od ulubionej puszczy, pod zieloną darniną Galicji i Wschodnich Prus. Tak poległ i Roman Sobota.

Teraz wszyscy zwrócili oczy na mówiącego, po twarzy którego przebiegał uśmiech. Od tego człowieka można się było wiele spodziewać, a jednak po tem, co powiedział, zdrętwieliśmy.

— Ośmielam się zwrócić do obecnych z pytaniem — mówił — czemu mamy męczyć się całą noc, być postrachem dla innych i samym kark nadstawiać, tembardziej, że możemy całą tę sprawę załatwić inaczej i ze znacznie większem powodzeniem.

Tu przerwał swą mowę i oczekiwał na zachętę z mojej strony, a potem mówił dalej.

— Otóż myślę, że posiadam sposób, żeby zmusić ludność wsi do własnoręcznego oddania nam broni palnej, zapasów strzelniczych, rogów, skór, a przytem bez żadnego nacisku z naszej strony.

Ogólny śmiech był na to odpowiedzią, ale Roman ciągnął dalej bez zmieszania.

— Wiecie przecież doskonale, że wszyscy podejrzewamy gajowego B., mieszkającego niedaleko Głębokiego Kątu, że idzie on ręka w rękę z kłusownikami i dlatego złowić ich nie możemy.

Wszyscy zgodzili się z tem.

— A więc, szanowni słuchacze, proponuję o naszej wyprawie dać znać gajowemu B.

Ogólne oburzenie było na to odpowiedzią i z trudnością udało się uspokoić zgromadzonych. Ja sam byłem również oburzony jego bezczelnością i chciałem pozbawić go głosu, ale spokój jego imponował mi. Milcząc, czekałem na dalszy ciąg. Nakazałem też ludziom uspokoić się i oczekiwać końca mowy. Gdy wszyscy zamilkli, Roman mówił dalej.

— Jeśli nasze podejrzenie co do nieuczciwości gajowego sprawdzi się, to uprzedzi on swoich przyjaciół i poradzi im wszystkie podejrzane rzeczy wynieść nocą ze wsi i schować w pobliskich krzakach, ponieważ przy tak gruntownej rewizji i znacznej ilości straży trudno będzie znaleźć pewne schronienie dla tego *corpus delicti* w chatach. Pozostawioną w krzakach zdobycz przyjmiemy naturalnie godnie i z należytą wdzięcznością. Jeśli ta propozycja będzie przyjęta, to prosiłbym dać mi nakaz, na mocy którego leśna straż powinna się zjawić następnego dnia o godz. 6-ej zrana do domu gajowego B., żeby przyjąć udział w próbnem polowaniu. Ja sam uprzedzę gajowego B., a on niech działa dalej. Jeśli nasze podejrzenia co do gajowego B. okażą się płonne, to pozostaje nam przeprowadzenie rewizji. Według mnie trzeba o zmierzchu zająć pozycję w pobliżu ciągnącego się błota i tam do wschodu słońca zostawić straż, która będzie oczekiwać na pobudkę i albo stosownie do rozkazu usunie się wgłąb puszczy, lub otoczy wieś. Tym sposobem od jednego strzału padną dwa zające: 1) uczynimy nieszkodliwym gajowego B., gdy na to zasłuży, 2) pozostawimy po sobie tej szajce doskonałą pamiątkę na długie czasy.

Po tej mowie zapanowała na jakiś czas cisza; nikt już nie żartował i wszyscy byli zajęci swemi myślami. Byłem zdumiony dowcipem tego człowieka i plan ten zdawał mi się zupełnie logicznym i prawdopodobnym.

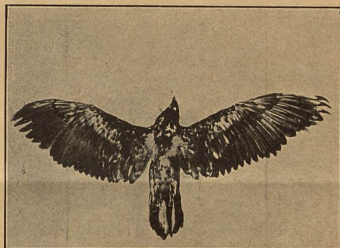
Nikt nie miał nic innego do zaproponowania i nikt nie protestował przeciw wypowiedzianemu planowi, dlatego też dałem swe zezwolenie i wykonanie tego planu poruczyłem samemu Sobocie. Przedewszystkiem znającym tę miejscowość poruczono dowództwo nad oddziałami, każdy z dowodzców miał wskazaną placówkę i otrzymał odpowiednie polecenie. Rozchodzenie się ze zbiórki można było zacząć dopiero o zmierzchu, żeby ludzie mogli trafić na granicę i uniknąć spotkania się z obcymi ludźmi. Każdy spotkany człowiek miał być zatrzymany przez straż. W razie ukazania się księżyca należy zdwoić czujność, dosięgnąć granicy puszczy i oczekiwać dalszych rozporządzeń.

Mające nastąpić układy Soboty z gajowym B. wzbudziły we mnie wielkie zaciekawienie i chciałem być świadkiem tego. Było jeszcze sporo czasu, więc kazałem rozejść się swoim ludziom i odpocząć. Głód upominał się o swe prawa, więc z torb myśliwskich zaczęto wydobywać zapasy; w niektórych znalazły się butelki z wódką. Zaspokoiwszy głód, rozciągnąłem się u podnóża sosny i prędko zasnąłem. O godz. 2-ej Sobota obudził mnie temi słowy:

— Już czas, wielmożny panie.

Wzmocniony snem, zerwałem się na równe nogi i udałem się za gajowym w drogę. Po przejściu pięciu kilometrów, zbliżyliśmy się do domu gajowego B., skromnie położonego na skraju drogi. Ukryłem się w pobliskie krzaki, skąd mogłem widzieć drzwi wejściowe i śledzić przez lornetę scenę rozmowy. Groźnie szczekając, rzuciły się na Sobotę psy, ale wkrótce uspokoiły się, gdy gajowy B. zjawił się przed domem. Po uściśnięciu sobie rąk, obaj siedli na ławce przed domem, wydostali kapciuchy z tytoniem, skręcili papierosy i zaczęli rozmawiać. Wkrótce wyszła i żona gajowego B. z dziećmi, wśród których znajdowała się dwunastoletnia dziewczynka. Widocznie rozmowa prowadzona była w krotochwilnym tonie, gdyż uszu moich dochodził wesoły śmiech. Sobota był prawdziwym mistrzem w nadaniu lekkiego wstępu rozmowom, w których punkt ciężkości przedstawiał czasem nielada orzech do zgryzienia. Śmiech zebranej rodziny był tak serdeczny i zaraźliwy, że omal nie wybuchnąłem śmiechem w swojej zasadzce. Wkrótce widocznie rozmowa przybrała inny obrót, gdyż zebrani uspokoili się i na dany znak przez gajowego osoby niezainteresowane oddaliły się, a zostali tylko obaj mężczyźni.

Sądząc z poważnego wyrazu twarzy, można było przypuścić, że nastąpił kulminacyjny punkt w rozmowie, gdyż zobaczyłem, że Sobota wyjął z bocznej kieszeni moją kartkę i przeczytał ją gajowemu B. Tamten kiwnął głową, przeczytał jeszcze raz kartkę, zadał kilka pytań i obaj podnieśli się ze swych miejsc.



Orzeł przedni, strzelony na Wileńszczyźnie. (Do wzmianki na str. 58)

Żeby trafić do mnie, Sobota dla niepoznaki udał się drogą okrężną, wprost przeciwną od miejsca, gdzie byłem ukryty. Gajowy B. wkrótce wyszedł i udał się do zagrody innego gajowego, oddalonej o 5 klm., żeby wypełnić nakaz o zmobilizowaniu straży do jutrzejszego polowania. W pół godziny potem usłyszałem za plecami lekki chrzest gałęzi i zobaczyłem idącego ku mnie Sobotę. Oto doniósł mi, że wszystko idzie zgodnie z obmyślonym planem i że dotąd nikt nie podejrzewa obecności policji i straży leśnej, bowiem ani gajowy B., ani nikt z jego rodziny nie wspomniał o tem.

Dzień zbliżał się ku końcowi i słońce chyliło się na zachód, ku wierzchołkom drzew. Już chciałem się podnieść, żeby iść dalej w las, obawiając się być zauważonym przez pastucha, wracającego ze stadem krów gajowego B., gdy Sobota zapewnił mnie, że pastuch nie będzie przechodził tędy i że należałoby zostać tutaj i śledzić, czy nikt od gajowego B. nie uda się do wsi. Zdecydowałem więc zostać do zachodu słońca, a potem dopiero połączyć się z pozostałymi w lesie ludźmi. Musiałem się zdrzemnąć, gdy po chwili na lekkie dotknięcie mnie przez Sobotę drgnąłem i usłyszałem skrzypnięcie drzwi w domu gajowego B., skąd wybiegła już wspomniana dwunastoletnia dziewczynka. Owinięta była chustką i pobiegła w kierunku wsi. Otwarcie mówiąc, na ten widok zadrżałem, bo do ostatniej chwili miałem nadzieję, że nasze podejrzenie co do nieuczciwości gajowego B. okaże się płonnem.

(Dok. nast.). E. BARK

W KWESTJI HODOWLI CERWIDÓW.

W miarę, jak nasza część świata się przeludnia, a knieje jej rzedną i przeświecają, kwestja hodowli w niej grubszej zwłaszcza fauny łowieckiej staje się coraz gorętszą — jeżeli nasi prawnukowie nie mają tak czytać o obecnych jeleniach i niedźwiedziach, jak my o jaskiniowych ich antenatach.

W Polsce, która posiada tak olbrzymią i, zdawałoby się, tak obronną knieję pierwotną, jak Karpaty — już spostrzegamy, że dotychczas wystarczające warunki naturalne podtrzymania poszczególnych gatunków ich fauny zaczynają zawodzić, a knieja zatraca stopniowo swój pierwotny charakter. Dzieje się to skutkiem coraz intensywniejszego usuwania lasu naturalnego z całą jego ożywczą i rozmaitą florą, wzamian za wprowadzoną sztucznie monotonną kulturę drzewa;— przecież dzisiaj gołe zręby wcinają się wgłąb najtajniejszych ostoi zwierza! A więc w dalszych skutkach swobodny dotychczas dobór rodziców i naturalna karma dawnej pierwotnej puszczy coraz bardziej zawodzą i zanikają. Nie dziw, że łowcy dzisiejsi zdobywają coraz mniejszy procent poroży jelenich o wadze ponad dziesięć kg.



Przed nowym kotłem. Fot. M. Lissowski.

Cóż mówić o zwyrodnieniu fauny w drobniejszych kniejach środkowej Europy!? O intensywniejszej niż u nas, hodowli sztucznej — drzewa!

Na tle tego, jak myśliwy powiedziałby, smutnego porządku rzeczy — przemysłowiec nazwałby to krótko rozwojem, — ukazało się w bieżącym roku dzieło o hodowli cerwidów — może o epokowem znaczeniu, zwłaszcza dla Niemiec.

„Neue Wege der Hege" (Nowe drogi hodowlane)— von Karl Vogt (Wydawnictwo: I. Neumann — Neudamm, 1936) jest to pięknie wydana z licznemi odbitkami fotograficznemi pierwszorzędnych zdjęć ilustrowana książka (165 str.), obrazująca z niemiecką gruntownością przeprowadzone wieloletnie doświadczenia hodowlone w zamkniętej przestrzeni 150 h., około 600 m.n.p.m. w dzierżawnym rewirze „Schneeberg", koło Bodenbach w półn. Czechach, nad Łabą.

Drogi, któremi autor dąży do osiągnięcia jak najintensywniejszej poprawy rasy swych wychowanków, są przedewszystkiem: dokarmianie sztuczne i dobór indywidualny rozpłodowych osobników z miejscowych kniej i ze Sławonji. Osiąga nadzwyczajne rezultaty — jak zestawienia statystyczne i fotografje: (dziesięcioletni jeleń, waga poroży 14 kg, dwudziestak, chowany w ogrodzeniu tylko przez 7 lat).

W końcu książki zapowiada autor, że obecnie przystępuje do dalszych badań nad wpływem witamin i promieni ultra-fioletowych ze światła słonecznego na rozwój swej fauny. Będą to badania jeszcze głębsze fizjologicznie. Narazie wracamy do dotychczasowych sposobów sztucznej karmy, używanej przez Vogta.

Autor stosował dotychczas dokarmianie swej zamkniętej racicowej fauny w ilości około stu sztuk jeleni obojga płci i kilkudziesięciu sarn — obserwując wpływ rozmaitej karmy na rozwój tej zwierzyny, w mięsie i rogach. Oparty na dokładnej znajomości chemicznego składu substancji mięsnej, kostnej i poroży, oraz wszelkiego rodzaju karmy, tak naturalnej, jak suchej i sztucznej, wprowadzał stopniowo do karmy naturalnej coraz większy procent wytłoczyn odpadkowych przy fabrykacji oleju, wyciskanego z rozmaitych nasion, jak lnu, soi, kokosa i ciemierzycznika (Sesamkuchen) i t. p.

Po kilku latach tych eksperymentów Vogt nabiera zupełnego przeświadczenia, że z całego szeregu powyższych odmian karmy wybija się na pierwsze miejsce wytłoczyna ciemierzycznika — i to pod każdym względem. A więc dodatnio, bo zwierzyna ją chętnie przyjmuje i to bez żadnych złych objawów trawienia etc. Próby ze stopniowem, coraz intensywniejszem dokarmianiem temi wytłoczynami, aż do ilości 2 kg. na głowę jelenia bez różnicy płci i wieku, a to w okresie rozwojowo najważniejszym roku (luty — czerwiec) — okazały wprost nadzwyczajny przyrost tak na ogólnej wadze, jak w specjalnej: poroży jeleni, również i sarn.

Jedynie ujemna stroną tej pożywki jest stosunkowo trudniejsze jej nabywanie, bo odnośnych fabryk roślinnych olei jest mało, a ceny tych wytłoczyn wyższe, niż innych.

W Niemczech i Czechach fauna racicowa jest wybitnie więcej skarłowaciała, niż u nas, cała ta praca Vogta nie powinna jednak przejść bez głębokiego rozważenia i u nas. Jest naszym zasadniczym obowiązkiem w miarę sił i stosunków wyciągnąć zeń naukę praktycznie i stosować dokonane tam doświadczenia, z uwzględnieniem lokalnych warunków.

Obowiązek ten dotyczy naturalnie w pierwszej linji największych latyfundystów, bo oni na największej powierzchni wpływają dodatnio lub ujemnie na faunę swych okolic, a więc pośrednio całego kraju.

Przedewszystkiem dotyczy to zatem administracji lasów państwowych. Ta największa w kraju administracja leśna nakłada swym inżynierom po nadleśnictwach coraz wyższe wymagania co do produkcji drzewa i robót statystycznych, powinna zatem eksploatację łowiecką oddawać w długoletnią, odpowiednio zagwarantowaną dzierżawę, wkładając w odnośne umowy ścisłe wymogi hodowlane, oparte na najnowszych doświadczeniach i kontrolowane jako kultura fauny tak, jak kultura lasu. Tem samem odpadałaby fiskalna polityka sprzedaży strzału do jelenia i kozła, gdyż ta nie da się pogodzić z dzisiejszem pojęciem kultury fauny, chyba, że administracja wykształci i wprowadzi specjalnych hodowców. Warunkiem, by taka organizacja dała realne rezultaty w podniesieniu fauny, jest gruntowna znajomość hodowlana organów inspekcyjnych i wypuszczanie rewirów łowieckich tylko w ręce, dające zupełną gwarancję hodowlaną.

Wtedy nadszedłby może czas, że w produkcji karpackiej drzewo osiągałoby wprawdzie ceny zawsze niższe, niż w nadleśnictwach równinowych, z powodu większych kosztów transportu, ale zato ceny rewirów łowieckich poszłyby w grube tysiące za ich praporoża jelenie.

WŁ. BURZYŃSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

KU UWADZE DZIERŻAWCÓW ŁOWISK W LASACH PAŃSTWOWYCH.

W łączności z wprowadzeniem przez Dyrekcję Naczelną Lasów Państwowych nowego wzoru umowy o dzierżawie prawa polowania w lasach państwowych, Polski Związek Łowiecki wystąpił do Dyrekcji Naczelnej L. P. z memorjałem, wykazującym konieczność zmiany niektórych punktów trudnych do przyjęcia dla dzierżawców i zawierającym konkretne wnioski w tej sprawie.

Wyrażamy przekonanie, że słuszne postulaty zorganizowanego łowiectwa zostaną uwzględnione.

ROZPORZĄDZENIE REORGANIZACYJNE

Wydział Wykonawczy Związku rozesłał w dniu 7 b. m. następujący okólnik:

Do Zarządów Stowarzyszeń Związkowych

W dniu 5 grudnia r. 1936 statut Polskiego Związku Łowieckiezo uzyskał zatwierdzenie Władz Państwowych. W łączności z tem wyłania się konieczność jak najrychlejszego wprowadzenia statutu w życie, aby wyzyskać w pełni te zmiany ustrojowe, które dadzą możność zorganizowania łowiectwa polskiego w sposób najbardziej celowy.

O pomoc w tej sprawie zwraca się Wydział Wykonawczy Związku do zrzeszonych Stowarzyszeń Łowieckich, prosząc o podjęcie akcji w kierunku pozyskania na członków Polskiego Związku Łowieckiego wszystkich świadomych pożytku pracy zorganizowanej myśliwych.

W myśl § 1 statutu, Polski Związek Łowiecki składa się z osób fizycznych, posiadających karty łowieckie, oraz zarejestrowanych Stowarzyszeń Łowieckich. Zarówno osoby fizyczne, jak i Stowarzyszenia nabywają prawa członków Polskiego Związku Łowieckiego przez złożenie uprawnionym organom Związku deklaracyj ustalonego wzoru oraz uiszczenie przypadających składek. Stowarzyszenie, jako takie, składek osobnych nie opłaca, natomiast przekazuje wpłacone przez członków składki, które stanowią: od członka zwyczajnego, korzystającego z pełni praw — zł. 10.— rocznie, zaś od członka nadzwyczajnego, nie posiadającego prawa głosu na Walnych Zgromadzeniach Powiatowych, ani prawa noszenia odznaki członkowskiej Polskiego Związku Łowieckiego — zł. 5.— rocznie.

Członkowie Stowarzyszeń, należących do P. Z. Ł. stają się automatycznie członkami nadzwyczajnymi Polskiego Związku Łowieckiego, mogą zaś zostać członkami zwyczajnymi przez złożenie odpowiedniej deklaracji.

Wydział Wykonawczy Związku zwraca się do WPanów z apelem, aby wszyscy członkowie Stowarzyszenia WPanów zechcieli zapisywać się na członków zwyczajnych Związku, gdyż jako dawni członkowie stanowić winni kadry tych myśliwych, na których oprze się nowa organizacja Związku.

Organami, uprawnionemi do przyjmowania członków zwyczajnych — są Wojewódzkie (Oddziałowe) Rady Łowieckie, a do czasu ich ukonstytuowania — obecne Oddziały Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, stosownie do miejsca zamieszkania poszczególnych członków. Wykaz i adresy Oddziałów Związku podajemy poniżej. Związek nie posiada dotychczas Oddziałów na terenie województw: kieleckiego, lubelskiego, łódzkiego i poleskiego.

Członków nadzwyczajnych przyjmują Powiatowe Rady Łowieckie, a do czasu ich powstania — Łowczowie Powiatowi Związku.

Jednocześnie z niniejszem przesyłamy WPanom po 25 egzemplarzy deklaracyj dla członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, oraz 25 egzemplarzy statutu, który dołączać należy tylko do deklaracyj na członków zwyczajnych.

Wypełnione deklaracje i spisy członków zechcą WPanowie przesłać do dnia 15 lutego r. b. właściwym Oddziałom Związku*), względnie — z obszarów, gdzie Oddziałów niema — do Wydziału Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego.

Wydział Wykonawczy Związku żywi nadzieję, iż Stowarzyszenia, zrzeszone w Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich, docenią wagę dokonywującego się przekształcenia ustroju łowieckiego w Polsce i podejmą wszelkie wysiłki, któreby zapewniły dopływ do Związku wszystkich prawdziwych myśliwych-obywateli.

WICEPREZES ZARZĄDU

(—) L. Skulski.

**) Oddziałami Związku są:*

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, — Lwów, Ossolińskich Nr 11 — na województwa: krakowskie, lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. Polskie Towarzystwo Łowieckie, — Warszawa, Nowy Świat Nr. 35 na m. st. Warszawę i województwo warszawskie, Pomorskie Towarzystwo Łowieckie, — Toruń, Sienkiewicza Nr. 10 na, województwo pomorskie, Śląskie Towarzystwo Łowieckie, — Katowice, Sobieskiego Nr. 16, na województwo śląskie, Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich — Wilno, Wielka Nr. 66, na województwa nowogródzkie i wileńskie, Wielkopolski Związek Myśliwych — Poznań, Młyńska 9, na województwo poznańskie, Wojewódzka Rada Łowiecka w Białymstoku—Białystok, Urząd Wojewódzki, na województwo białostockie, Wołyńskie Stowarzyszenie Łowieckie, — Łuck Mickiewicza Nr. 5, na województwo wołyńskie.

Myśliwi zapisujcie się indywidualnie do

POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

ZARZĄDZENIE REORGANIZACYJNE.

Wydział Wykonawczy Związku rozesłał w dniu 11 b. m. następujący okólnik:

Do Panów Delegatów Powiatowych Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w województwach: kieleckiem, lubelskiem, łódzkiem i poleskiem.

W grudniu r. ub. uzyskał zatwierdzenie Władz Państwowych statut Polskiego Związku Łowieckiego. Przeprowadzenie reorganizacji Związku w terenie zlecone zostało w myśl § 70 statutu Zarządom Oddziałów Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, których pierwszem zadaniem będzie mianowanie Łowczych Powiatowych oraz akcja w kierunku werbowania i przyjmowania członków Polskiego Związku Łowieckiego.

Ponieważ na terenie województw: kieleckiego, lubelskiego, łódzkiego i poleskiego dotąd Oddziałów Związku nie było i zabiegi o ich utworzenie są dopiero teraz podjęte, przeto, aby uniknąć przerwy w pracy organizacyjnej, Wydział Wykonawczy Związku zwraca się do WPana, jako swego Delegata, a obecnie w myśl § 70 nowego statutu — Podłowczego Polskiego Związku Łowieckiego — z prośbą o niezwłoczne podjęcie akcji w kierunku powiększenia liczby członków Związku: 1. przez osobiste zapisanie się na członka zwyczajnego Polskiego Związku Łowieckiego w drodze wypełnienia odnośnej deklaracji i przesłania jej wraz z opłatą zł. 10.— do Wydziału Wykonawczego Związku (Warszawa, Nowy Świat Nr. 35); 2. przez zachęcenie do zapisywania się na członków (zwyczajnych lub nadzwyczajnych) wszystkich myśliwych swego powiatu.

Wraz z niniejszem przesyłamy WPanu po 10 egzemplarzy deklaracyj obu rodzajów oraz tyleż blankietów przekazowych P. K. O. Jednocześnie przesyłamy WPanu 10 egzemplarzy statutu, który należy wręczyć kandydatom na członków zwyczajnych, wyjaśniając, że tylko członkowie zwyczajni korzystają z pełni praw na zgromadzeniach powiatowych i wojewódzkich oraz z prawa noszenia odznaki członkowskiej.

Legitymacje będą wysłane wystawcom deklaracyj po otrzymaniu opłaty członkowskiej, stanowiącej dla członków zwyczajnych — zł. 10.—, dla członków nadzwyczajnych — zł. 5.—.

PRZEWODNICZĄCY
WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO
(—) Józef Gieysztor

P. S. W myśl uchwały Walnego Zgromadzenia Związku z dnia 24 maja r. ub., dla pracowników administracji leśnej do stopnia leśniczego włącznie oraz dla straży łowieckiej — ustalone zostały zniżone normy składki rocznej w wysokości: dla członków zwyczajnych — zł. 6.—, dla członków nadzwyczajnych — zł. 3.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 23 GRUDNIA 1936 R.

Przewodniczył obradom p. prof. Józef Gieysztor, obecni byli pp.: inż. Leopold Skulski, Maurycy hr. Potocki, red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Kazimierz Kamieński, inż. Herman Knothe, Czesław Lisowski, Józef Skrzypek, inż. Henryk Sosonko, Wacław Szperling, inż. Kazimierz Tołłoczko, mec. Aleksander Tallen-Wilczewski; protokółował Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny obejmował:

1. Odczytanie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 17 grudnia.
2. Sprawozdanie Komisji do spraw organizacji straży łowieckiej.
3. Sprawy bieżące.
4. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 17 grudnia r. b. przyjęto z kilkoma poprawkami.

W łączności z protokółem ustalono treść pism do Oddziałów i Stowarzyszeń Związkowych w sprawie wprowadzenia w życie nowego statutu i planu związanej z tem reorganizacji Związku.

Ustalono również wzory deklaracyj i legitymacyj członkowskich.

Wobec zmiany nazwy Związku, postanowiono zmienić nazwę konta w P. K. O. i zamówić nowe blankiety nadawcze P. K. O.

Z pośród wniosków, zgłoszonych przez P. Skrzypka, załatwiono wniosek, dotyczący powiększenia noworocznego numeru „Łowca Polskiego", uchwalając wydrukowanie 500 dodatkowych egzemplarzy tego numeru.

Pozostałe wnioski P. Skrzypka — odłożono do następnego posiedzenia Wydziału Wykonawczego.

POTOCZNA TERMINOLOGIA ŁOWIECKA.

Sprawę terminologii łowieckiej poruszyłem przed dwoma laty na posiedzeniu Komitetu Redakcyjnego Łowca Polskiego, który w ożywionej dyskusji uznał powagę zagadnienia i zwrócił się do mnie z prośbą usystematyzowania zebranego przeze mnie materiału. Wkrótce na łamach Łowca Polskiego potoczyła się dyskusja na temat języka łowieckiego, której wynikiem było całkowite stwierdzenie, że język łowiecki jest chlubą myśliwych, a skarbem narodu.

Takie stanowisko dodało mi bodźca. Niebawem przedłożyłem Komitetowi Redakcyjnemu terminologię, dotyczącą wszystkich zwierząt i ptaków łownych — przeznaczoną dla użytku myśliwych w ich potocznej mowie. Opracowując tę rzecz, świadom byłem dwóch faktów, a to, że spadku odziedziczonego po przodkach nie wolno nam zaprzepaszczać, a po drugie, że dzisiejszy myśliwy nie ma żadnego podręcznika, któryby nauczył go niezbędnych w codziennym życiu wyrażeń myśliwskich, i do którego mógłby się zwrócić w razie spornych kwestji.

Komitet Redakcyjny, mając mój materjał, powołał do życia Komisję Jezykową celem przejrzenia mej pracy i zaaprobowania jej do druku. W skład Komisji weszli: red. W. Garczyński, jako przewodniczący, J. Bokiewicz, J. Dylewski, Wł. Zabiełło i podpisany.

Ani Komisja Językowa, ani ja, w niej zasiadający jako autor „Potocznej Terminologji Łowieckiej", nie mamy bynajmniej zamiaru narzucać myśliwym z góry swego zdania. Dowodem tego jest uchwała Komitetu Redakcyjnego z 10.XII.36 r., postana-

wiająca druk mojej pracy w Łowcu Polskim — jako rzeczy dyskusyjnej. *Proszę więc wszystkich myśliwych, którzy doceniają wartość języka łowieckiego o szczere zainteresowanie się ogłaszaną terminologją i o nadsyłanie swych uzupełnień lub sprostowań.* Idzie mi o to, aby „Potoczna Terminologja Łowiecka", która następnie ma się ukazać w formie broszury, miała też za sobą oparcie na powadze świata myśliwskiego i była możliwie wyczerpująca.

Pragnę ustalić tylko te wyrażenia łowieckie, które są potrzebne w codziennem życiu; ma to być terminologiczny podręcznik łowiecki, a nie słownik, któryby zawierał wszelkie możliwe do zebrania, tak dawne, jak i obecne regionalne określenia i nazwy łowieckie. Pragnę, abyśmy mieli jeden potoczny język i mogli się wzajemnie porozumieć, bez względu na to, z których stron pochodzimy.

Wszelką korespondencję w tej sprawie proszę kierować do Redakcji Łowca Polskiego.

Pracę moją rozpoczynam od terminologji, dotyczącej najpospolitszego naszego ssaka łownego, jakim jest zając.

ZAJĄC (LEPUS TIMIDUS).

Bębnić. Zając „bębni" — uderza nogami o ziemię, by straszyć wroga, lub przeciwnika, wywołując odgłos podobny zbliska do bębnienia.

Bielak (Lepus variabilis), zając arktyczny, zimą całkowicie biały, spotykany jedynie w lasach północno-wschodniej części Polski.

Bobki, odchody.

Bronić się. Zając „broni się", uciekając przed psami.

Chycać (kicać). Zając „chyca (kica", gdy daje specyficzne, oderwane skoki, nie straszony niczym.

Comber, część kręgosłupa zająca wraz z przylegającymi mięśniami, od karku do kości miednicowej.

Czmychać, zmykać, uciekać.

Dosiadywać (dotrzymywać), zachowanie się zająca, w przeciwieństwie do pomykania, obliczone na to, że go nikt nie zauważy.

Gach, nazwa zająca samca, dawana mu szczególnie w czasie parkotów.

Głuszyć, zabijać zająca, uderzając go ręką pod uszy.

Gracz, zając doświadczony, umiejący ujść pogoni psów.

Jechać. Zając „jedzie", gdy jest w pełnym biegu.

Jechać na sankach. Zając „jedzie na sankach", gdy postrzelony w tył czołga się tylko na przednich łapkach, wlokąc zad za sobą.

Kicać, patrz — chycać.

Kipić (sadzić). Zając „kipi (sadzi)", gdy zmyka w całym pędzie.

Kluczyć. Zając „kluczy" zanim zalegnie w kotlinie, t. j. tworzy tak zwane pętle oraz wraca własnym tropem dwu lub trzykrotnie, celem zmylenia prześladowcy.

Kniazić (wrzeszczeć). Zając postrzelony, lub męczący się we wnyku, dobijany, lub duszony przez psy, wydaje głos bólu i przerażenia, podobny do płaczu małego dziecka, jakby wołał: „kniaź".

Kocię (kociak), młody zajączek.

Kocić się (rzucać miot), wydawać potomstwo.

Kołkować. Zając „kołkuje", gdy w czasie biegu zatrzymuje się nagle i słucha.

Kominek, podskok zająca w górę w biegu, ze zmianą kierunku, jako ostatni ratunek przed chwytającymi go psami.

Kopno, legowisko zająca w śniegu, widoczne z daleka po kupce wykopanego śniegu.

Kopyra, zając.

Kot, zając.

Kotlina, legowisko zająca w gruncie.

Kotna, określenie zajęczycy, noszącej płód.

Kwietniak, zając urodzony w kwietniu.

Łamać. Zając „łamie", gdy zwodzi charty, rzucając się w bok.

Marcować. Zając „marcuje", gdy zaspokaja popęd płciowy.

Marczak, zając wylęgły w marcu.

Miot, potomstwo z jednego lęgu.

Muskać. Zając „muska", gdy wydaje głos w czasie parkotów.

Muskanie, patrz — podmuskiwanie.

Nazimek, zając urodzony w jesieni, jako ostatni w danym roku miot.

Obracać. Zając „obraca", gdy goniony przez psy wraca z powrotem swojemi tropami do miejsca, skąd był ruszony. (Gończe psy „obracają" zająca, gdy goniąc go zmuszają do powrotu).

Okładać. Zając „układa", gdy krąży w koło i wraca skąd był ruszony.

Okocić się, płód wydać.

Omyk, ogon.

Osmużać, ściągać skórę.

Parkać się (parkocić), zaspokajać popęd płciowy.

Parkoty (parkanie), czas zaspokajania popędu płciowego.

Patrochy, wnętrzności.

Patroszenie, usuwanie wnętrzności.

Pętla, kształt tropu zająca podobny do pętli (patrz — kluczyć).

Podmuskiwanie (muskanie), wabienie zajęcy w porze parkotów, przy pomocy naśladowania ich głosów.

Polowanie ławą, sposób polowania, polegający na tem, że myśliwi, rozstawieni wraz z naganiaczami w jedną linję, idą przed siebie kilka kilometrów i strzelają pomykające przed nimi zające. Zające, które pomknęły zbyt daleko, usilują po pewnym czasie przedrzeć się przez linję myśliwych i wrócić, skąd zostały ruszone, dając w ten sposób możność strzału.

Polowanie na pomyka, polowanie specjalnie na zające w pojedynkę, polegające na szukaniu ich i strzelaniu, gdy pomkną.

Polowanie w kotły, polowanie specjalnie na zające na otwartych miejscach, polegające na tem, że myśliwi, przeplatani naganiaczami, otaczają pewną przestrzeń, tworząc koło (kocioł), a potem, idąc do środka, zwężają go stopniowo i strzelają pomykające wgłąb kotła, lub usiłujące wyjść z kotła zające.

Polowanie z naganką, uprawiane przedewszystkiem w lesie i na terenie mniej lub więcej zakrytym, t. j. zarośniętym, polega na tem, że z jednej strony przeznaczonego do opolowania części terenu (miotu) ustawia się naganka, po przeciwnej zaś stronie zajmują myśliwi wyznaczone stanowiska. Na dany sygnał naganka rusza z miejsca, a idąc prosto na linję myśliwych, pędzi na nich zwierzynę. Przy tego rodzaju sposobie polowania, niekiedy używane jest obstawianie naganką częściowo skrzydeł (boków).

Pomykać (pomknąć), ruszyć z miejsca.

Prószyć, wydawać odchody.

Przesmyk, droga, którą zając stale chodzi.

Ruszyć. Zając „rusza", t. zn. opuszcza legowisko.

Rzucać miot, patrz — kocić się.

Rzut, patrz — miot.

Sadzić, patrz — kipić.

Skoki, nogi.

Skrom, tłuszcz zajęczy (sadło).

Skromny, tłusty.

Słuchy, uszy.

Słupka dawać (słupka stawać). Zając „daje (staje) słupka", gdy strwożony podnosi się nagle (również w pełnym biegu) na tylnych nogach, nasłuchuje i spogląda, skąd mu grozi niebezpieczeństwo.

Smużek, skóra z zająca wraz z futrem.

Spadły, chudy.

Strugi (strzyże), zęby.

Strzyc słuchami, ruszać uszami.

Strzyże, patrz — strugi.

Szarak, nazwa zająca, pochodząca od koloru jego szerści

Tablica, biała plama na zadzie zająca.

Turzyca, szerść.

Wrześniak, zając urodzony we wrześniu.

Wyjeżdżać. Zając „wyjeżdża", gdy wystraszony wyskakuje z kotliny.

Zeskok, długi skok zająca w bok, wprost do kotliny, dany po nakluczeniu (patrz — kluczyć), celem zgubienia w ten sposób śladu.

Żerować, szukać pokarmu, jeść.

Żerowisko, miejsce dokąd zając idzie na poszukiwanie pokarmu

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

ŁOWIECTWO A KOLEJE PAŃSTWOWE.

Sprawa zniżek na kolejach dla myśliwych wciąż nie znajduje przychylnego przyjęcia u naszych naczelnych władz kolejowych. Wiosną roku ubiegłego starała się Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie o uzyskanie zniżek dla myśliwych, udających się do karpackich rewirów tejże Dyrekcji. Niestety, lwowska inicjatywa została przez Warszawę przekreślona.

W roku bieżącym podobno starania powyższe mają być wznowione. Sądzę, że inicjatywa taka powinna znaleźć żywe poparcie ze strony Polskiego Związku Łowieckiego. Byłby to pierwszy krok dla uznania łowiectwa za równouprawnione z przeróżnemi innemi dziedzinami, korzystającemi oddawna z mnóstwa udogodnień na kolejach państwowych.

Powinny wreszcie zaważyć na losach inicjatywy Lwowa momenty turystyczne, których przecież łowiectwo ma mnóstwo. Dzisiaj turystyka we wszelkich postaciach cieszy się specjalnemi względami czynników miarodajnych. Zwłaszcza turystyka do okolic oddalonych od naszych ośrodków, bardziej na zachód położonych, ma swoje wyjątkowe znaczenie. A zdarza się często, że jedynym odwiedzającym zapadłe zakątki jest myśliwy. Zwykły turysta, pozbawiony wszelkiej pasji łowieckiej, nie zechce wędrować w najdalej wysunięte na południowy wschód zakątki Karpat, na połoniny Hryniawy, a jednak dociera tam myśliwy i przesiaduje jesienią nieraz po kilkanaście dni.

Jeżeli dziś cieszy się względami naszych dróg żelaznych turysta z pod każdego znaku, czy to narciarz, czy kajakowiec, czy wreszcie zwykły śmiertelnik, który turystyki nie wąchał, a tylko dla korzyści bohaterem się mianuje, to przecież byłby czas, aby i myśliwy mógł znaleźć dla siebie jakiś kącik w tym tłoku.

Trudno może znaleźć właściwe rozwiązanie na szerokiej płaszczyźnie, ale właśnie dlatego szukać go trzeba na odcinkach takich, które są łatwiejsze (np. przez moment turystyczny) do zdobycia. Wtedy zbliżą się najbardziej oddalone dla zachodniego łowcy knieje Wileńszczyzny, Polesia, a przedewszystkiem Karpat Zachodnich. A to właśnie są te skarbnice przyrody, z których myśliwi winni czerpać jak najwięcej.

Miejmy nadzieję, że już wkrótce starania Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie uwieńczone zostaną pozytywnem postanowieniem Ministerstwa Komunikacji.

Lwów, styczeń 1937.

DR. JERZY BŁESZYŃSKI

*

Sprawa uzyskania ulg przejazdowych na kolejach dla wycieczek łowieckich może stać się aktualną dopiero z chwilą przystąpienia wszystkich myśliwych do zreorganizowanego Polskiego Związku Łowieckiego.

Właśnie przekształcenie go na związek osób fizycznych, a nie stowarzyszeń jak dotąd, stawia P. Z. Ł. narówni z organizacjami turystycznemi lub sportowemi i umożliwi wystąpienie do władz o zniżki dla członków Związku. (*Przyp. red.*)



Arkady Fiedler: *„Kanada pachnąca żywicą"* — wydawnictwo „Roju", str. 273.

Znany podróżnik znowu daje nam książkę, pełną ciekawych wspomnień i przeżyć. Chcąc jednak dobrze zobrazować jego przeżycia, musimy głęboko nad niemi się zastanowić. Ostatnia bowiem książka Fiedlera jest refleksyjna. W poprzednich wydawnictwach autor odtwarzał tylko to, co widział, w ostatniem, niejeden swój krok tłomaczy, lub nawet usprawiedliwia. Co go do tego zmusza? Zdziwimy się, gdy się dowiemy, że spowodowało to sumienie myśliwego. Wprawdzie całość nie jest czysto myśliwska, ale są ustępy a nawet rozdziały całe, które traktują tylko o łowach w Kanadzie, kraju o tak wspaniałych możliwościach dla myśliwego.

Już raz pisząc w Ł. P. o książkach Fiedlera, powiedziałem, że jest on łowcą przygód, a nie myśliwym, czy też badaczem przyrody. W ostatniej jego pracy ten właśnie charakter podrozy wyraźnie przebija z każdej stronicy.

A jeśli przejdziemy do opisów jego przygód myśliwskich, to uderza nas w pierwszym rzędzie brak konsekwencji. O rozdziale p. t. „Niedźwiedzica" — pisać nie będę, uczynił to już „Wuzet" na łamach „Łowca Polskiego".

Fiedler kończy swą książkę rozdziałem p. t. „Strzelaj ty". Przez kilka ostatnich rozdziałów autor dąży do spotkania się z łosiem, tym potentatem puszczy kanadyjskiej. Ale kiedy Indjanin zwabił mu łosia na strzał... nie chce strzelać, gdyż pora godów miłosnych, nie chce mącić wspaniałego obrazu strzałem, przecinającym życie. Rozumiem to. Wszak nieraz, mając dobrego jelenia czy rogacza na strzał, myśliwy nie strzeli, bo „coś" każe mu tylko zapatrzyć się w misterja natury, zapomnieć o sztucerze. Ale czy który z nas myśliwych w takiej właśnie chwili odda sztucer przewodnikowi, by ten strzelał? Nigdy. Jeżeli strzał myśliwego wywoła dysonans w duszy przyrodnika lub artysty, to tembardziej strzał przewodnika, który nie rozumie tej całej gamy uczuć i odczuć, które rozumie tylko myśliwy. A właśnie Fiedler oddał sztucer Indjaninowi, każąc mu strzelać do łosia. Sam nie strzelił, bojąc się wywołać zgrzyt, a czyż strzał Indjanina tego zgrzytu nie wywołał w sercu podróżnika?

Muszę przyznać, że tego nie rozumiem. Ale tu właśnie ukazuje się cały charakter podróży Fiedlera. Nie jest i pewnie nie będzie nigdy myśliwym.

Kiedy jednak Fiedler jest bez sztucera, kiedy patrzy na puszczę i opisuje jej mateczniki lub jej mieszkańców, znać w nim artystę, głęboko odczuwającego piękno natury. Umiłowanie przyrody, jej wolnego, szerokiego oddechu, czyni Fiedlera pierwszorzędnym pisarzem podróżniczym. Opis bobrów i ich życia w puszczy kanadyjskiej jest porywający, jak i porywający jest stosunek autora do przypadkowo spotkanego psa.

Fiedler jest znawcą oddziaływania słowem pisanem na czytelnika. Wie on dobrze, że długie opisy przyrody nużą przeciętnego czytelnika, dlatego operuje krótkiemi rozdziałami, krótkiemi w opisie, lecz niestety niezawsze równemi w diapazonie i nastroju. I to może zmniejsza trochę wartość tej ciekawej i dobrej książki. Autor powinien pisać dwie prace równocześnie. Jedną lekką, drugą poważniejszą, a wtedy obydwie będą kompletne w nastroju, a tak rozdziały lepsze zatracają się w powodzi rozdziałów powierzchownie traktujących temat.

„Kanada — pachnąca żywicą" — to książka, którą trzeba przeczytać. Jest ona jak wiatr z dalekich lądów, który każe zatęsknić sercom do szerokiego oddechu powietrzem puszcz nieznanych. Jest ona magnesem, który przyciąga umysły ludzi, steranych życiem codziennem; przyciąga, by im pokazać nieznane cuda natury. Wreszcie jest ona jedną z nielicznych dziś książek, które opiewają przygody Polaków - podróżni-

ków wśród innych ludzi, odzwierciadlają życie emigracji polskiej i uwypuklają różnicę życia u nas i u obcych.

Nas, myśliwych, interesuje ona specjalnie, interesują nas opisy przyrody i zwierząt kanadyjskich, oraz choć skomplikowane, jednak nie banalne podejście autora do samej istoty łowiectwa.

MIECZYSŁAW MNISZEK-TCHORZNICKI.

Wolf v. Buhrmeister-Eymern. *„15 000 km. na Wschód"*. Książka, traktująca o przygodach myśliwskich i podróżniczych po sybirskich puszczach, ozdobiona 30-ma rysunkami. Wydawnictwo firmy J. Neumann-Neudamm. Cena oprawionej Rm. 6.—.

Bardzo mało znajduje się na świecie tak bogatych w najróżnorodniejsze rodzaje zwierzyny okolic, jakiemi były w czasach przedwojennych wschodnie prowincje dawnej Rosji. Rozległe i niedostępne puszcze tego kraju stanowiły niegdyś doskonały teren dla rozmnoży zwierzyny łownej europejskiej i azjatyckiej. Każdy niemal gatunek fauny był tu obficie reprezentowany.

Lecz nie dlatego tylko książka ta zasługuje na uwagę świata łowieckiego, że zawiera przygody myśliwego, przeżyte w latach 1926 — 1933 w nieprzerwanym stosunku z tą zwierzyną. Pomijając doświadczenia myśliwsko-podróżnicze, ciekawa jest ona niezmiernie pod względem politycznym. Autor bowiem, będąc w Sowietach przez szereg lat kierownikiem porębu lasów, miał możność poczynienia większych obserwacyj z wewnętrznego życia tego kraju, niż każdy przygodny podróżnik. Najważniejsze jednak są spostrzeżenia łowieckie, które dla gospodarstw hodowlanych, jak i dla poszczególnych myśliwych, mają pierwszorzędne znaczenie.

Terenem działania Eymern'a była Kamczatka i dorzecze Ussuri. Przeżycia jego w zetknięciu się z tygrysami, lampartami i z silnemi dzikami; wspomnienia z polowań na łosie, reny, jelenie, niedźwiedzie i t. d. ujęte są w formę opowiadania stanowiące bardzo zajmującą lekturę dla myśliwych - podróżników i wogóle dla wszystkich braci z pod znaku św. Huberta, żądnych wrażeń myśliwskich. Niemało jest również wypraw i ekspedycyj naukowych w okolice górskie i wulkaniczne.

Całkowity obraz stosunków łowieckich i olbrzymie bogactwo zwierzyny, która, niestety, przy obecnej nieracjonalnej gospodarce Sowietów, niebawem będzie należała do przeszłości, przedstawione są w kilku treściwych artykułach.

W pierwszym z nich, p. t. „W puszczach Ussuri", wprowadzając czytelnika do treści swej książki, umieścił Buhrmeister szczegółowy opis prastarych lasów dorzecza Ussuri i znajdującej się tam zwierzyny łownej. Ciekawe są zwłaszcza w tym ustępie charakterystyczne epizody z życia Koreańczyków i Chińczyków, którzy, jako koloniści, zamieszkiwali południową część tego zakątka Rosji, oraz organizacja sowieckiego leśnictwa.

„Historyjki tygrysie" są zbiorem bardzo niebezpiecznych podchodów tygrysów, groźnych napadów tego drapieżnika na ludzi i zaciętych jego walk ze zwierzętami; zawierają zajmujące opowiadanie starych i doświadczonych myśliwych o przygodach z tygrysami i t. p. Niektóre z nich są tak niezwykłe i pełne grozy, iż nasuwa się myśl, że są osnute na bujnej wyobraźni autora, poparte jednak odpowiedniemi faktami, zdają się nie ulegać wątpliwości.

Nie mniejszą wartość dla czytelnika przedstawiają dalsze rozdziały tej książki: „Mój pierwszy lampart", „Dzień polowania na granicy parku przyrodniczego", „Staroobrzędowiec Matwiej Panfilowicz" i „Na dziewiczym tropie". Obfitość różnorodnej zwierzyny niejednemu myśliwemu, goniącemu za zdobyczami łowieckiemi, uprzyjemniła i urozmaiciła polowania, dostarczając nieraz cennych trofeów w upominku; Eymern jednak miał pod tym względem wyjątkowe szczęście. Poza obfitemi w zdobycze polowaniami, nastręczyła mu się niejedna scena z walki o byt świata zwierzęcego, której mu każdy miłośnik przyrody pozazdrości.

Dokładny opis Kamczatki, poczynając od położenia geograficznego, a kończąc na stosunkach gospodarczych i politycznych tego kraju, umieścił Buhrmeister w jednym z dalszych rozdziałów tej książki, p. t. „Kamczatka"; zwierzynę łowną Dalekiego Wschodu oraz ważniejsze szczegóły z jej życia opisał w rozdziale, zatytułowanym „Zwierzyna Kamczatki". Ten zakątek Rosji sowieckiej posiada w rejestrze swej fauny bardzo bogaty stan różnych gatunków niedźwiedzi. W związku z tem rozwinęło się tam na szeroką skalę polowanie na tego zwierza.

Eymern w tem dziełku opisuje między innemi kilka swych wypraw na niedźwiedzie. Ciekawe są zwłaszcza ze względu na sposób polowania opisy polowań na niedźwiedzie, myszkujące za rybami na rozlewiskach rzecznych. Bardzo wiele pouczających spostrzeżeń i interesujących opisów polowań zawarte zostało w „Badawczo myśliwskiej ekspedycji w okolice wulkanu „Szewielicz" oraz w „Wyprawie myśliwskiej w stronę wulkanu „Tolbaczyk". W artykule „Na pardwy" umieścił autor humorystyczne wspomnienia z polowań w okolicy Kosyrewska na pardwy, których na Kamczatce jest bardzo wiele. Niezmiernie zajmują czytelnika obserwacje Eymern'a nad polującemi na ryby orłami, zawarte w rozdziale „Na przylądku Kamczatka". W kilku krótkich opisach przedstawił on wyczerpująco ważniejsze szczegóły z życia orłów oraz sposób zdobywania przez nich pokarmu z narażeniem się niejednokrotnie na porwanie do wody przez większą, zahaczoną pazurami rybę. Zimową wycieczkę do kraju Lamutów, będących mongolskim szczepem Jakutów, życie tych ludzi i cały szereg urządzonych tam obław na wilki opowiedział Buhrmeister w rozdziale p. t. „1600 km. sankami, powożonemi przez psy". Polowanie na sobole w okolicy wymienionego już wulkanu „Tolbaczyk" streszczone zostało w ustępie „Na sobole w Kamczatce". I wreszcie w ostatnim rozdziale p. t.: „Wilki" umieścił Eymern opis swej podróży sankami z Kosyrewska, poprzez dolinę rzeki Kamczatki, do Pietropawłowska. Znajdujemy tam również szereg różnych sposobów polowań na wilki oraz kilka napadów tych zgłodniałych rabusi na ludzi i na trzodę chlewną i t. p.

Całkowita treść książki ujęta jest w prostą i łatwą w czytaniu formę opisową. Dawne i obecne stosunki gospodarcze i polityczne, a zwłaszcza gospodarka leśna i hodowlano-łowiecka Rosji sowieckiej, skrytykowane zostały przez autora ujemnie.

STEFAN M. MACKIEWICZ.

ODPOWIEDŹ P. ST. ZIELIŃSKIEMU NA KRYTYKĘ KSIĄŻKI P. T. „PTAKI ZIEM POLSKICH".

Czytelnik, jak i autor, mają prawo wymagania od krytyka, zabierającego głos na łamach poważnego pisma, aby do krytykowanego dzieła odnosił się możliwie objektywnie i w skróceniu przedstawił jego wartość i całokształt.

Tę zasadę przyzwoitości krytyka względem czytelnika i autora zignorował jednakże p. Stanisław Zieliński, pisząc o mojej książce p. t. „Ptaki Ziem Polskich" w „Łowcu Polskim", nr. 1 z dn. 1 stycznia b. r. Omawiając same tylko „usterki", dotyczące zresztą jedynie szczegółików, i zupełnie przemilczając inne sprawy, usiłuje p. Zieliński wywołać wrażenie, że moja książka cech dodatnich i jakichkolwiek wartości wogóle nie ma. Metodę przemilczenia stosuje p. Zieliński tak konsekwentnie, że z krytyki czytelnik wogóle się nie dowiaduje np. jaką objętość ma książka i czy jest ilustrowana lub nie.

Uważam, że zbyteczne byłoby, gdybym prostował zarzuty p. Zielińskiego, dotyczące z całości wyrwanych szczegółików, gdyż człowiekowi, który nie zetknie się z moją książką, sprostowanie nic by nie dało, natomiast gdy czytelnik weźmie do ręki moją książkę, dozna niewątpliwie innego wrażenia, niż to, które usiłował wywołać p. Zieliński. Nie obawiam się, aby kilka, zresztą przeważnie zupełnie niesłusznie atakowanych szczegółów, mogło obniżyć wartość dzieła, obejmującego 444 strony druku, oraz oryginalnych rysunków 115 i tablic 30, z mnóstwem fotografij i obrazków barwnych.

Przy jednej tylko sprawie muszę się zatrzymać. Otóż p. Zieliński pisze: „niestety odnosi się wrażenie, że autor wielu nowszych prac ornitologicznych nie zna". Przyznać się muszę, że prac p. St. Zielińskiego rzeczywiście nie znam. Szanowny krytyk może być odważny i czuć się bezpiecznie, gdyż pracami jego się nie zajmę. Wiadomo, że krytyce podlega zawsze tylko ten, który coś robi.

DOC. DR JAN SOKOŁOWSKI.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

LE SAINT - HUBERT.

N. 11/1936 str. 311. Hr. V. Doret *„Polowanie na kozice w Austrji"*. — Wygląd kozicy i jej obyczaje są tak różne od typu nizinnej zwierzyny płowej, że zasługują na szczegółowsze omówienie. Letnie futro kozicy jest koloru kawy z mlekiem, od końca września ciemnieje do barwy ciemno - bronzowej. Włos na brzuchu jest u kozła rudy, u kozy bardziej jasny. Na głowie odznaczają się wyraźnie trzy smugi białe: po obu stronach szczęki dolnej aż do szyi i na czole od nosa aż do rogów, nadając głowie zwierzęcia wygląd tak charakterystyczny. Na zimę futro otrzymuje gęste poszycie puchowe, pozwalając kozicy przeciwstawiać się silnym mrozom i wiatrom górskim. Grzbiet porasta wysoką szczecią, t. zw. brodą, którą myśliwi ozdabiają swe kapelusze. Czarne rogi, zwane hakami ma zarówno cap, jak i koza, chociaż rogi samicy są nieco mniejsze i mniej zachylone w tył. Według ilości pierścieni na hakach określa się wiek kozicy. Waga dorosłej kozicy waha się od 30 do 40 kg., waga ta jednak spada znacznie u kozłów w okresie rui, czasem do połowy, oraz wogóle u kozic po ciężkiej zimie. Pożywienie kozic stanowi trawa, rosnąca w szczelinach skał, którą zimą musi zwierzę wydobywać z pod zlodowaciałego śniegu, odbijając go racicami. Kozice uważane są przez ludność góralską za rodzaj barometru, przepowiadającego pogodę: przed długotrwałą niepogodą schodzą one bowiem na stoki gór, wracając na szczyty z nawrotem dobrej pogody, gdzie wiatry, zmiatając śnieg, ułatwiają im dotarcie do paszy.

Polowanie na kozice trwa w Austrji od 1 sierpnia do 15 grudnia. Jako najbardziej emocjonujące jest uważane polowanie w okresie rui — od połowy listopada do połowy grudnia. Kozły, które w innym czasie trzymają się oddzielnie, w październiku łączą się w grupy, złożone z samych kozłów, a z nastaniem rui rozpoczynają poszukiwania ciekających się kóz. Odbywają się wtedy dalekie wyprawy, a po znalezieniu kóz staczają między sobą zażarte walki, często kończące się śmiercią słabszego rywala. Polowanie odbywa się przez wypatrzenie kozic przy pomocy szkieł i podchodzenie ich następnie pod wiatr. O ile bowiem wzrok i słuch kozic nie odbiega od normalnego, spotykanego u innej zwierzyny, to powonienie jest u nich rozwinięte nad wszelki podziw. Przy złym wietrze poczują one myśliwego na odległość zgoła nieprawdopodobną. Natomiast przy pomyślnym kierunku wiatru można czasem podejść kozicę zupełnie blisko. Przy niespodzianem spotkaniu, jeżeli myśliwy pozostaje bez ruchu, kozica staje, przypatrując mu się bacznie i z ciekawością, którą ujawnia przez mocny gwizd. Strzela się kozice kulą i zaleca się dobrze i starannie mierzyć: ranna kozica uchodzi na takie szczyty, na zdobycie których myśliwy stracić może nieraz pół dnia i często napróżno. Mało pomagają nawet specjalne górskie tropowce, gdyż częściej ranna kozica strąci psa w przepaść, niż on ją zatrzyma. Niedość wprawny myśliwy powinien korzystać z pomocy wytrawnych przewodników, specjalistów od polowań na kozice, którzy i podprowadzić we właściwy sposób potrafią i ułatwią dojście postrzałka.

Nr. 11/1936 str. 309. Hr. A. de la Chevasnesie *„Grousy"* — Niewielki ten, zaledwie nieco większy od kuropatwy ptak, należący do rodziny Tetrao (Lagopus lagopus), stanowi przedmiot najulubieńszych łowów na obszarze Anglji, Szkocji i Irlandji. Trzyma się on tam na bagnistych moczarach, torfowiskach, zboczach gór i wrzosowiskach, i jak dotąd nie dał się w większych ilościach zaklimatyzować w innych krajach europejskich, pomimo licznych prób, czynionych w Szwecji, Norwegji, Belgji, Holandji, Niemczech, a ostatnio we Francji. Autor przypisuje to specjalnym warunkom klimatu oraz gleby wysp brytyjskich, przepojeniu zarówno powietrza jak gruntu nadmiarem wilgoci, nadającemu osobny charakter szacie roślinnej — bujnej, a delikatnej w stopniu nieosiągalnym w żadnym innym kraju. Grousy wymagają pozatem dużych obszarów wolnych, nie niepokojonych przez roboty w polu, oraz ścisłej ochrony przed drapieżnikami, wobec których są bezbronne ze względu na otwarte tereny osiedlenia. Pozatem ulegają one często chorobom zakaźnym, albo też giną wskutek wyniszczania wrzosowisk przez owady. Właśnie rok ubiegły był takim rokiem klęskowym. W Aberdeenshire np., gdzie w r. 1935 w pierwszym dniu polowania w ośm strzelb podniesiono 1500 grousów, w r. ub. przy 10 strzelbach padło tylko 600 sztuk. A pamiętać trzeba, że bywały i takie rekordy, jak 1070 grousów, ubitych w jednym dniu przez lorda Walsingham, albo 100 000 grousów, jako rozkład 50 lat polowań lorda Grey.

J. G.

RZADKA ZDOBYCZ.

Jesienią ub. r. na Wileńszczyźnie, w czasie polowania na kozły, o świcie został zastrzelony przez rtm. Henryka Buszyńskiego, ze sztucera, piękny okaz orła przedniego, z rozpiętemi skrzydłami do 2,5 mtr. szerokości.

Zabity orzeł został oddany do spreparowania i będzie wkrótce zdobić hall klubu oficerskiego jednego z pułków kawalerji.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Dn. 30 grudnia 1936 r. odbyło się u pp. St. Jasiukowiczów w Chodakowie polowanie w 16 strzelb, na którem opolowano w 4 pędzeniach leśnych i 5 kotłach ca 800 ha. Ubito 1060 sztuk, w tem zajęcy 604, królików 183, bażantów 183 i kuropatw (za specjalnem pozwoleniem) 90. Dla porównania kilka liczb z dawniejszych lat: 1922 r. — 233 sztuki, 1924 — 240, 1930 — 635, 1932 — 747, 1934 — 834.

— W roku 1936 odbyły się w Wierzchowiskach p. J. Koźmiana (woj. lubelskie), następujące polowania:

Dnia 3. IX. polowanie na kuropatwy w 9 strzelb w pędzeniach i ławach; podniesiono 441 kuropatw i 2 przepiórki.

Dnia 10. XII. odbyła się obława na dziki z czertą i psami; 20 myśliwych ubiło 31 dzików (11 wycinków, 6 loch i 14 warchlaków).

Dnia 17. XII. w 2-ch ławach, 1-ym kotle i 5-ciu pędzeniach ubito 534 zające, 210 bażantów, 16 kuropatw i 3 różne, razem sztuk 763.

Ogółem przez rok 1936 ubito w Wierzchowiskach: 32 dziki, 8 lisów, 4 rogacze, 548 zajęcy, 210 bażantów, 543 kuropatwy, 13 przepiórek, 5 różnych; razem sztuk 1353.

— Dnia 19 XII odbyło się w Starzyńcu u p. Ludwika Kuglera polowanie, na którem, przy fatalnej pogodzie, ubito 233 zające i 1 lisa. Najwięcej zabił, t. j. 37 zajęcy, Cz. hr. Dąmbski.

— Dnia 9 grudnia odbyło się polowanie w Zborowie (woj. kieleckie) u pp. Tomaszostwa Łaszkiewiczów. Opolowano w 10 strzelb około 800 ha i ubito ogółem 535 szt., w czem 516 zajęcy, 12 bażantów i 7 różnych. Najwięcej na rozkładzie miał p. Tomasz Karski z Nieznanowic (73 szt.), dalej Maciej ks. Radziwiłł i Artur ks. Radziwiłł. Rezultat polowania byłby lepszy, gdyby nie duża okiść i mgła, utrudniająca prowadzenie polowania.

— W dniu 12 grudnia 1936 r. odbyło się w Sekursku u p. Jana Biedrzyckiego polowanie przy udziale 10 strzelb. Opolowano wyłącznie las i remizy w pędzeniach na przestrzeni około 220 hektarów. Zabito: 717 bażantów, 306 zajęcy, 63 króliki, 15 kuropatw (za specjalnem pozwoleniem) i 3 cietrzewie. Ogółem 1104 sztuki.

TREŚĆ NUMERU:

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Koszutowski, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa



POLECAMY

NAJPEWNIEJSZE W UŻYCIU
BELGIJSKIE AUTOMATYCZNE

pist. BROWNINGA oryg. F. N.
kal. 6.35, 7.65 i 9 mm.

JENERALNI PRZEDSTAWICIELE NA POLSKĘ
WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA
w Warszawie, ul. Królewska 17

Oddziały: POZNAŃ, Pierackiego 12 – LWÓW, Pl. Marjacki 4
WILNO, Wileńska 10 – KATOWICE, Młyńska 2

JAKÓB MAREK
MAGAZYN OBUWIA
Warszawa, Bielańska 22
TELEFON 12-18-05
Rok założenia 1868



POLECA
BUTY MYŚLIWSKIE
w cenie od 90 zł.

SKŁADAJCIE OFIARY
na Pomoc Zimową
dla bezrobotnych
Konto P.K.O. Nr. 70.200
Pomoc Zimowa

PRACOWNIA
WYPYCHANIA PTAKÓW I ZWIERZĄT
ORAZ OPRAWA ROGÓW, WYPRAWA SKÓR I ROBIENIE DYWANÓW
WIKTORA ŁASTOWSKIEGO
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 10 m. 7
(wprost kościoła Ś-go Krzyża) Telefon 686-78

Administracja Dóbr Zielona Dąbrowa, poczta Juljanka st. kol. Potok Złoty, sprzedaje żywą zwierzynę (zające bażanty, kuropatwy). Cenniki na żądanie.

Bażanty, dzikie króliki, oraz rośliny pastewne dla zwierzyny i sadzonki leśne poleca **Zarząd Lasów XX Czartoryskich w Babkach poczta Krzesiny, Wielkopolska**. Prosimy żądać bezpłatnych cenników!

Jamniki trzymiesięczne, krótkowłose, ciemno-czerwone, od rodziców wielokrotnie nagrodzonych złotymi medalami na wystawach, a jednocześnie wybitnie uzdolnionych do polowania w norze, do sprzedania. Hodowla „Romowe", tel. 8-75-41.

Krótkowłosy niemiec, wnuk **Iwana i Waldy**, prima rodowód, dobrze ułożony, cięty, okazyjnie do sprzedania. Wiadomość J. Ślusarczyk, Mościce. P. F. Z. A.

Leśnik-bażantarnik zawodowy, znający dobrze swój zawód, sztuczną hodowlę bażantów, kuropatw i kaczek, łowienie zwierzyny żywej, zajęcy, bażantów, kuropatw i t. p. w sieci i klatki, pierwszorzędny tępiciel drapieżników, znający również prowadzenie poręb szkółek i trzebieży, z 24-letnią praktyką, poszukuje posady od 1 kwietnia. Franciszek Gębicki, maj. Rudniki, poczta Zawiercie, woj. Kieleckie.

Proszę gorąco wszystkich Panów Prezesów Kółek myśliwskich o łaskawe nadesłanie do mojego księgozbioru myśliwskiego druków tamtejszego Kółka, jak: statut, regulamin, wzór legitymacji, zaproszenia, dyplomy, listy i koperty z winietkami, różne karneciki ręcznie malowane oraz wszelkie inne drobiazgi mające łączność z myślistwem. Proszę i z góry dziękuję. Józef Wł. Kobylański, Warszawa 1. ul. Górnośląska 16, m. 38.

Sarn żywych większą ilość z hodowli na dziko do sprzedania. Wiadomość: J. Kamocki, Milanówek k/Warszawy, ul. Grodowska Nr. 12.



Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI w Warszawie

Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:
G. Delourny-Sevrin à Liege
A. Forgeron "
A. Francotte "
Lepage "
Sztucery, Trójlufki
G. Delourny-Sevrin à Liege
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie

OZNAKI
„STRAŻNIK ŁOWIECKI"
z opaskami w cenie zł. 6.00 za sztukę
poleca:
Administracja „Łowca Polskiego", Warszawa, N.-Świat 35

RAPORTY
STRAŻY ŁOWIECKIEJ
w blokach po 100 arkuszy
w cenie zł. 1.60
do nabycia
w Administracji „Łowca Polskiego"



PRZY ZNANEM MUZEUM PRZYRODNICZEM
STEFANA GREULICHA
Warszawa, Nowy Świat 61
z dniem 1 stycznia 1937 r. została otwarta pod doświadczonem kierownictwem właściciela
PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW, ZWIERZĄT I PREPAROWANIA SZKIELETÓW
Ceny konkurencyjne